

1875

Andrzej Niemojewski

DOBA OBECNA

w Królestwie Polskim

**Doba obecna
w Królestwie Polskiem**

Wydawnictwo Literackie, Kraków

Doba obecna
w Królestwie Polskim

Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

Andrzej Niemojewski

DOBA OBECNA

w Królestwie Polskiem

Kraków 1905

Nakładem redakcyi miesięcznika politycznego »Wyzwolenie«.

93(438)/11

Andrzej Niemojowski

DOBROBYTA

w Krakowie



10666/2

10666/2

Wydawnictwo Literackie, Kraków



Dobrze dzieje się obecnie w społeczeństwie polskim. Żyjemy, dążymy, walczymy. Pokazało się, że chodziło nie o zdolność do walki, ale o możliwość tej walki. Z chwilą, gdy owa możliwość się zjawiła, społeczeństwo wszczęło bój na śmierć i życie. Wahało się przez długie trzy kwartały i miało prawo się wahać. Wielokrotnie już występowało pierwsze, wielokrotnie a nadaremnie wołało: „za naszą i waszą wolność!“ Tego zapominać niewolno. Wykreślone z karty europejskiej, opierało się samo na sobie, na swej wewnętrznej sile, na swej duszy. Wśród najsroźszej niewoli nietylko nie straciło swej osobowości, ale ją rozwinęło, udoskonalilo, uszlachetniło. A teraz, gdy godzina czynu wybiła, podjęto walkę. Jaką walkę? W jakiej formie? O jakie zdobycze? Ludzie serc przeczulonych i wszelkiego rodzaju doktrynerzy znają tylko jedną

odpowieź; tę przyjmą poklaskiem, każdą inną przekleństwem i kalumnją. Nie chcę mówić do serc przeczulonych i do doktrynerów. Chcę raczej mówić do tych, którzy, jak się pięknie i bystro wyraził Wyspiański, „nie przefilozofowali sprawy polskiej“.

Chciałbym zebrać fakty rozrzucone, do znanych dorzucić nieznanne, dać jednych i drugich psychologję. W pozornym chaosie dążeń pragnę wykazać zupełną celowość ruchu i świadomość środków, zwrócić uwagę na ten szczególny umiar pomiędzy rozumowaniem a zapalem, zimnem postanowieniem i wprost zuchwałem wykonaniem.

Żyliśmy książką, „burzyliśmy i budowaliśmy“ w książce. To minęło. Zaczęliśmy żyć czynem, burzymy i budujemy w samem życiu. Układaliśmy programy „dla zasady“; dziś układamy je „dla czynu“. Dlatego pienili się na warszawskich działaczy „ludzie zasad“, którzy już zapomnieli, jak czyn się rodzi i jak wygląda; i dlatego przyłączyli się do ruchu ludzie czynu, którzy nie zapomnieli, że wszelka zasada może mieć różne formy realizacji.

Polska dzisiejsza, to nie Polska dawna. Ach, czy przy tych słowach znowu nie zdrżą ludzie przeczulonych serc i ludzie doktryn? Oni doznają szczególnego lęku; boją się,

aby pokolenia żywe nie przerosły pokoleń umarłych, aby się nie zdobyły na myśl samodzielną, bo wedle ich wyobrażeń umarli powinni rządzić żywymi, a żywi wiecznie tylko spełniać wolę testamentową nieboszczyków. Polska, tak wypadaloby z ich historjozofji, ma się rozwijać nie wedle praw przyrodzonych, które trzeba odkryć, ale wedle planu, zakreślonego jej czy przez Skargę, czy przez Sejm Czteroletni, czy przez jakiegoś profesora krakowskiej wszechnicy.

Inni znowu, których możnaby nazwać celnikami współczesności, obawiają się, aby ktokolwiek nie przemycił z zagranicy przeszłości jakiegokolwiek idei, jakiegokolwiek spuścizny, a zwłaszcza demokratycznej, bo dla nich, jako demokratów rzekomo wszechludzkiego autamentu taka swojska spuścizna jest najniebezpieczniejsza. Są to płodni w wicherzycielstwo doktrynerzy, których musi posiadać każda lewica. Byli i będą jeszcze.

A jednak zdarzyła się w Warszawie rzecz nadzwyczajna. Śród chaosu partji, programów, wieców, walk dyskusyjnych i walk ulicznych, nastął moment, w którym zawołano: Niema partji! Są tylko dwa stronnictwa: stronnictwo ludzi, którzy coś robią i stronnictwo ludzi, którzy nic nie robią!...

* * *

To, co się dzieje obecnie w Warszawie i w dziesięciu guberniach Królestwa Polskiego, zaskoczyło niespodzianie tak zwaną opinię publiczną. Dlaczego?

W Królestwie Polskiem, a nawet w Warszawie, istnieje zupełny brak jakichkolwiek źródeł poznania. Nie mamy Sejmu, nie mamy posłów, nie mamy prasy niezależnej, nie mamy swobody stowarzyszeń, nie mamy nawet niezależnej beletrystyki, malującej życie. Stany od stanów zostały oddzielone policyjnymi przegrodami, szlachcic od chłopca, inteligent od robotnika. Kto przeskoczył taką przegrodę, ten został uznany za politycznego przestępcę.

Nauczyć jakiegoś biedaka czytać, pisać, rachować, równało się podkładaniu dynamitu pod tron Romanowych. Kiedy w innych krajach takim filantropom stawiają po śmierci pomniki, u nas za życia pędzono ich do cyta-
tadeli, albo deportowano na Syberję. Nędza ludzka? Co ciebie obchodzi nędza ludzka, mówił rząd. Pragniesz wystąpić z jakąś inicjatywą? Zostaw to nam, warczała biurokracja rosyjska.

Kto nie został zastrachany „białym terrorem“ i badał i szedł między lud, wglądał

w życie, w rozporządzenia rządowe, w stosunek tych rozporządzeń do życia, albo kto działał, kto budził, kto organizował, ten musiał mieć tak ciasny kął widzenia, że nigdy nie mógł objąć całokształtu zjawisk, że musiał być stronnym, że z konieczności widział źle, przeceniał, niedoceniał. A że społeczeństwo silnym podlegało przeobrażeniom, przeto wytworzyły się u nas dwa rodzaje literatury informacyjnej, jeden rodzaj, którego objawem typowym „Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce, 1863—1888“, jęk na ucisk, jęk beznadziejny, książka, do której, jakby powiedział redaktor pierwszy warszawskiego „Głosu“, Józef Potocki, wydawcy tylko jeszcze stryczek dodać powinni, aby każdy po przeczytaniu mógł się zaraz powiesić, a rodzaj drugi, piśmienictwo partyjne, które, jak przysłowiowa liszka, chwaliło tylko swój ogon, a jeśli było np. socjal-demokratyczne, to, wedle słów Róży Luxemburg, „miało przede wszystkim na celu poinformowanie czytelnika o roli socjal-demokracji“ (Wybuch rewolucyjny w caceracie, str. 3).

Całe ostatnie czterdziestolecie, jego dzieje wewnętrzne, przeobrażenia społeczne, myślowe, dążeniowe, wszystko to było spowite mgłą tajemnicy. Znano fakty i to źle, a zupeł-

nie już nie znano tych faktów psychologii. Zegar publicznych uświadomień zatrzymał się w chwili, kiedy polska prasa wygłosiła ostatecznie słowo niezależne. Świadomość narodowa, reprezentowana przez książkę i pismo periodyczne, została zupełnie zdystansowana przez narodowy instynkt, który nie posiadał prawie żadnej reprezentacji w piśmiennictwie. Z tego powodu ludzie nieraz nietylko błędnie rozumeli nowe zjawiska, ale istnieniu ich przeczyli. Ludzie różnych kątów Polski przestali się rozumieć, wywiązała się ciekawa walka wiatraków, walka o „wiary społeczne“, szermierze siadali do balonu swych „wiar“, a ponieważ policja odebrała im wszelką swobodę ruchów w wymiarze trzecim, wzbili się razem z Polską przez siebie pojmowaną w wymiar czwarty...

I stała się parodja Schopenhauera: „Polen als Wille und Vorstellung“.

Ale czy Polska była temu winna, że jej synowie, wytwarzający tak zwaną opinię publiczną, nie znali jej! Rzecz wprost paradoksalna! Polska była tajemnicą dla polskiej opinii publicznej.

Bo ta opinia publiczna tworzyła się na biurku p. Donimirskiego, Godlewskiego i ks. Chełmickiego; w speluncie p. Jeleńskiego, Jeske-

Choińskiego i Veritusa; na plebanji „Przeglądu Katolickiego“ i „Kroniki Rodzinnej“; na koloacji u p. Salomona Lewentala i na czwartkowych przyjęciach u Deotymy, która coś trzydzieści lat nie wychodziła z domu przy zbiegu Marszałkowskiej z Królewską. Tworzyła się także w kole Henryka Sienkiewicza, któremu w ciągu ostatnich dwudziestu lat dymy kadzidlane owacji całkiem rzeczywistość zakryły i zakryć musiały. Tworzyła się w pięćdziesięciu salonikach wybitniejszej warszawskiej inteligencji. A dalej tworzyła się na tajnych zebraniach różnych tak zwanych „nielegalnych“, których życie było jednym pasmem szalonej agitacji i nieustannego ukrywania się, sugestjonowania ludzkiego materiału, „obkuczania“ działaczy drugorzędnych, wiary w nietykliwość programu, uchwalonego na ostatnim zjeździe ogólnopartyjnym...

Tak zwana prasa nielegalna była nie historją życia ostatniego czterdziestolecia, ale historją walki różnych publicystów partyjnych.

Więc gdy Biali nawet z Sienkiewiczem na czele zapewniali rząd, że „powstania nie będzie“ (List otwarty Polaka do ministra rosyjskiego, str. 18), Czerwoni nietylko w to powstanie wierzyli, ale na sesji, odbytej w Kijowie, zaręczali, że się odbywają „próbne mo-

bilizaje“... A potem w pół roku przysłała mobilizacja rządowa... i odbyła się bez oporu... Tak, ale już w styczniu dokonała się wielka zmowa powszechna, a w lutym zaczęły padać bomby...

A ponieważ i Biali nie próżnowali, ponieważ składali u stóp tronu, czy u stóp ministrów, memorjały „23“, więc każdy miał trochę racji i ci, którzy mówili, że powstania nie będzie, i ci, którzy je zapowiadali...

A najwięcej racji miał Słowacki, kiedy pisał: „W tych magnatach serce chore“ i kiedy przepowiadał, że lud zamieni się w krzak Mojżeszowy, który rozgorzeje błękitnym płomieniem...

Rok 1863 był rokiem przełomu biologicznego Polski. Do tego roku Polska jedna, od tego roku Polska druga.

Do tego roku bohaterskie wysilenia celem „odbudowania“ starej Rzeczypospolitej polskiej; od tego roku wyłożona praca nad „zbudowaniem“ Polski nowej.

Do tego roku Polska wyłącznie szlachecka, od tego roku Polska demokratyczna, Polska miejskiej inteligencji, Polska ludu, Polska robotnika.

Uwłaszczenie ludu wiejskiego to brama, przez którą historia ruszyła nowym torem.

Znamy ten fakt, ale nie znamy jego psychologicznych konsekwencji.

Chłop polski zaczął żyć samodzielnie, na własny rachunek materialny i moralny, stał się z pańszczyźnianego niewolnika dziedzica jego ubogim wprawdzie, ale bądź co bądź sąsiadem. Dawniej pan myślał za chłopą, odtąd chłop musiał myśleć za siebie samego. Jeżeli było to klęską, że polski chłop przez blisko cztery wieki pozostawał niewolnikiem, to stokroć większą klęską było dla całego narodu, że w ciągu tego czasu żaden pług myśli nie przeorał jego kory mózgowej.

Rząd dokonał wielkiej rzeczy dla Polski a popełnił największe głupstwo dla siebie. Prawda, zrazu posiał niezgodę pomiędzy dworem a chałupą, posiał ją ukazem, ustawą gminną, komisarzem włościańskim, sprawą serwitutową. Ale powoli ukaz począł żółknąć w archiwach, ustawa gminna żyła tylko na papierze, komisarze włościańscy mimo wszelkich wysiłków już roboty dla siebie znaleźć nie mogli a sprawy serwitutowe utraciły charakter zapalny. Natomiast rząd, usuwając na bok szlachcica, skierował całe odium chłopskie na siebie. On wstąpił teraz w prawa szlachty, on teraz bił, on głębił, gnębił chłopą i szlachcica; on zaprowadził podatki, pobór rekruta,

pobór łapówek, on „świętom kancelaryją“ rządził, on prawosławny, on obcy, on nie szanujący miejscowego obyczaju, on stawiający pomnik Aleksandra II. „tyłem“ do Jasnej Góry, on ciągle drażniący, on ze swoją wojną tu-recką a wreszcie wojną na Dalekim Wschodzie.

„Lud dla Polski“, wołali patryjoci starego typu. „Lud ma swoje cele“ ostrzegł jakiś głos. Z tego, choćby djalektycznie, da się wyciągnąć jakaś nieznana nam jeszcze bliżej prawda: jeżeli oczywistość nakazuje przyznać, że lud to przecież Polska i jeszcze jaka, to w takim razie ona Polska Ludowa miałaby „swoje cele“ w przeciwstawieniu do polityki polskich patryjotów starego typu.

Tak, Polska Ludowa miała swoje cele, swoje dążenia, „swoją pocztę“, jak się jakiś chłop wyraził, swoją „myśl“, swój „rachunek“, swoją „politykę“ jako żywiołu. Myśmy mieli naszą niepodległość, nasze powstanie, naszą państwowość, naszą literaturę, naszą sztukę, naszą naukę — bez współdziałania mas ludowych. A lud miał swoją — emigrację.

Wtedy poczęliśmy rozdzierać szaty ze zgrozy i rozpaczy. Bo to nam całkiem nie pasowało do naszej niepodległości, do naszych powstań, do naszej państwowości, do naszej literatury, naszej sztuki, naszej nauki — do

naszej idei o współudziale ludu przy „odbudowaniu“ Polski.

Pisaliśmy rozpaczliwe powieści „Na złamanie karku“, posyłaliśmy korespondentów do portów nowojorskich, do Brazylii, narzekaliśmy na brak robotnika... i bodaj to narzekanie było najszczerze...

Gdzieby tam kto słuchał wygłaszanych równocześnie sprawozdań jakiegoś „Przeglądu Emigracyjnego“, wychodzącego we Lwowie; nawet Szczepanowski na nic innego się nie zdobył, jak na twierdzenie, że jeżeli w Galicji rok rocznie umiera 50.000 biedaków na choroby nagminne, to niechaj lepiej wywędrują a żyją...

Straszny pesymizm.

Nagle ni stąd ni z owąd poczynają pisma donosić, że z Ameryki napływają pieniądze, że lud z za morza płaci długi, zakupuje ziemię w kraju, że idzie powrotna fala, zamieniona w dolary, a tak wielka, że wypada coś po rublu na głowę ludności, zamieszkującej Królestwo Polskie.

Nagle znany konserwatysta ks. Brykczyński pomieszcza w gazetach list otwarty, w którym powiada, że emigracja jest rzeczą dobrą, tylko radzi udawać się tam a nie tam.

Nagle wybiera się komisja, złożona z przed-

siębiorecznych młodych ludzi, ludzi nauki, ludzi bezstronnych w dziedzinie „wyznań społecznych“. Wracają, opowiadają dziwy...

Nagle pokazuje się, że emigracja jest dla ludu podróżą naukową, akademją umiejętności, wszechnicą pogładowego wykładu nauk społecznych i politycznych, że lud już po trzech miesiącach znajduje tam dla siebie formę uspołecznienia się, gdy jej w „kastowej“ Europie, w Polsce „starej cywilizacji szlacheckiej“ przez całe życie, choćby skończył uniwersytet, znaleźć nie mógł i zawsze kogoś... raził.

Ten chłop, ten zatraceniec, o którym lwowscy przedstawiciele Narodowej Demokracji śmieli powiedzieć, że z chwilą nastania konstytucji w Królestwie Polskiem wybierałby na posłów komisarzy włościańskich (a nie pp. Dmowskich i Wasilewskich), ten chłop urządził pewnemu szlachcicowi taki „kawał“.

Gdzieś majem, o wczesnym ranku, gdy pierwsze wonie durzyły głowę i pierwsze ciepłe podmuchy całowały stęsknione wiosny twarze, młody pan dziedzic wyjechał z dworu na koniku wronym i, machając nietroskliwie szpicrutą, zbliżał się do zabudowań wiejskich.

A że umiał nie tylko marzyć, ale i patrzeć, przeto postrzegł przed jedną z zagród owych „Amerykanów“, co to świeżo wrócili z za mo-

rza, czarne surduty, kołnierzyki białe, krawaty, dym papierosów. Oho, jakaś feta.

— Sługa szanownych panów. A cóż to, w dzień powszedni tak odświętnie?

— A cóż to, czy pan nie wie, że to dziś rocznica Konstytucji Trzeciego Maja?

Ot — na „Złamanie karku“. Ot, trwoga o niepodległość. Ot, trwoga o wpływ komisarzy włościańskich. Ot — „swoje drogi, swoja poczta, swoje cele“.

* * *

Rząd rosyjski ma w ogóle szczęśliwą rękę. Co posieje „dobroczynnie“, to mu wyrasta „chwast niewdzięczności“. Słusznie twierdził warszawski szef żandarmerji Fułton, że chłop polski jest istotą najniewdzięczniejszą pod słońcem. Rząd mu dał wolność i ziemię a on żywi względem rządu tylko nienawiść i knuje bunt. Żali p. Fułton myślał, że można było sobie kupić chłopca polskiego za... parszywą... morgę gruntu?

* * *

W r. 1878 tenże „szczęśliwy“ rząd wydał prawo górnicze, oddzielające własność powierzchni ziemi od wewnętrznych bogactw ko-

palnych, skutkiem czego w ciągu piętnastu następnych lat polski przemysł drobny zamienił się w przemysł wielki.

Przypatrzmy się choćby mapie graficznej stuletniej eksploatacji sosnowieckiego węgla, sporządzonej przez Biuro Rady Zjazdu Przemysłowców Górniczych w Dąbrowie.

Oto cieknie drobnuchny strumyczek czarnych djamentów, oto wiekopomna, twórcza działalność Banku Polskiego, założyciela słynnej dziś Huty Bankowej, budowniczego całych kolonji, których domy są do dnia dzisiejszego ozdobione na ścianie szczytowej literami B. P.

Strumyczek ten zachwiał się nieznacznie w latach 1831/32, następnie w latach 1855/56, potem w latach 1863/64 i wreszcie w latach 1870/71. Cieniuchny, wiotki, jak kibić pięknej dziewczyny, nagle od roku 1878 pęcznieje, rośnie, zamienia się w kolosalną rzekę czerni, w jezioro, w morze. Wydajność jednej kopalni skoczyła z 14 wagonów na dobę do 200 wagonów. Padły puszcze leśne, spłynęły szybami do podziemi, aby drewnianem czołem podpierać skalny sklep po wybraniu węgla. Zadymiły kominy setek fabryk, tytanicznych kuźnic, hut, zagrzmiała uwertura stalowych walców, zaszumiały nieskończone transmisje.

Sławna Huta Bankowa w ciągu jednej godziny wyrzucała ze swych czeluści więcej gwoździ, niż dawniej w ciągu roku. Zadymiła Łódź, zadymiły Pabjanice, Częstochowa, Warszawa... i oto na tem podłożu prawa górniczego roku 1878, na tej metryce, narodził się w Polsce nowy stan, powstała klasa robocza.

Narodziła się rządowi — Irredenta.

O, życie twarde, życie ciągłych niebezpieczeństw, ustawiczny taniec ze śmiercią. Praca wartka, praca człowieka współczesnego, który ciągle się spieszy, który na nic nie ma czasu, który żyje nie na lata, ale na minuty, na sekundy.

Jedna sekunda prześlępiona i oto czerwony wąż drutu obcina nogę. Jedna sekunda nieuwagi i oto szala szybowa z bracią roboczą roztrzaska się o dno czworokątnej, trzysta metrów głębokiej studni. Jedna sekunda niezdecydowania i oto pierś zgnieciona szalejącym w dół po pochylni pociągiem wagoników.

Groza i spokój, szal pracy i zimna krew, ciągną gonitwa, a krokiem się nie uszło za próg.

To nie sielanka pastusza i śmierć z wywieńczenia wśród macierzanek... To bój, ciągły bój, złowrogi bój z ogniem, wodą, gazami, pryskającym stopem, z potęgami przyrody,



które trzeba ujarzmić i tak długo ugniatać, dopóki się nie zmieniają... w kopiejkę, złotówkę, rubla.

To kuźnica nietylko „szyn i żelaza gatunkowego“, ale także charakterów, pogardy śmierci i wiary... w moc ducha.

„Fabryki, fabryki, to nasze pałace“ — zabrzmia niekiedy. A nagle zabrzmiało: „Niech się pali, niech się wali, będziemy, bracia — świętowali!“

Patrjoci dawnego typu nie znaleźli w swej mowie ani jednego czarodziejskiego słowa, na którego dźwięk byłaby się ku nim obróciła twarz tego wiecznie szalejącego, jak koło rozpedowe, pracownika. Szczytne wyrazy, jak „Ojczyzna“, „Kościuszko“, „Kiliński“, „Legjony“, które budziły gdzieindziej całe światy myśli i uczuć, tu brzmiały pusto, jak szum, jak klekot, jak obca mowa. I oto dlaczego wszystkie obietnice Narodowych Demokratów pozostały na papierze. Bo kiedy znalazł się autor, którego serce drgnęło dla tego „czyścica polskiego“, jeden z najwybitniejszych wszechpolaków rzekł do niego z przekąsem: „Szkoda, że pan jesteś zanadto socjalistą a za mało Polakiem“...

I znowu powtórzyło się, jak z kwestją emigracji. Te huki młotów, to nie polska rzecz;

ten znój, co się tam leje, to nie polski znój; te słowa: „Krew naszą długo lały katy“, to nie polskie słowa...

Polska całkiem się przeniósła do wymiaru czwartego. Całą trójwymiarowość odjęto ojczyźnie, Kościuszcze, Kilińskiemu, Legjonom... Zrobiono z tego jakąś ojczyźnianą fikcję, jakieś „Ding an und für sich“, a wszechpolacy marzyli o założeniu jakiejś akademii polskich rzeczy, bo im wszystko było niepolskie...

Życie było im — niepolskie.

„Ta rzeka jest całkiem fałszywa w tonie“, zawołał jakiś malarz, patrząc na Wisłę.

„To zagłębienie węglowe Sosnowca i Dąbrowy niema w sobie nic polskiego“ szeptali Narodowi Demokraci. I nie poszli tam.

Życie psuło tym panom całkiem ich teoryjki...

„Sędziami będziem wówczas my“... Kto, wy? Czarna hołota!

Kiedy runęło rusztowanie w czasie budowy politechniki warszawskiej i kilkunastu robotników ciężko poraniło, rzekł pewien sędziwy patryjota do swej sąsiadki w mleczarni Nadświdrzańskiej: „Prawda, pani, nic nie szkodzi, że tę hołotę trochę potłukło!“

W kwadrans potem wóz przejechał jakieś dziecię tej „hołoty“. Starzec drgnął, zerwał się,

biegł ratować. Bo to widział a tamtego nie widział. Ludzie są lepsi, niż ich doktryny...

Ale historia musiała dać lekcję tym panom zapatrzonym w doktrynę. I dała.

Bo oto przyszedł do Polski kosmopolityczny socjalizm, stanął jak Mefistofeles za robotnikiem u huczącego warsztatu i począł mu w ucho szeptać:

— Powiadają ci, że nie umiesz czytać. A ja ci mówię, że czytać umiesz. Patrz na wynędzniałe twarzyczki twych dziecin, na tę bladość siną, na te wypełzłe oczęta. Wyczytasz słowo: Nędza. Policz teraz trumny i trumienki. Ile miałeś dzieci, a ile masz? Widzisz, umiesz także rachować. Obróć oczy na twoją żonę, wiecznie niedomagającą, nigdy nie wypoczętą, przedwcześnie zawiędłą... Łzy ci z oczu padły na jej twarz? Widzisz, umiesz także pisać. Ty wiele rzeczy umiesz, tylko nie wiesz, że umiesz...

A równocześnie jakiśzwarjowany Nietzsche układał gdzieś w Wogezach aforyzm: „Człowieku, dotąd duch twój jest jeszcze mgławicą, z miljonem gwiazd ukrytych przed twoją żrenicą“...

„Jak się to jedno z drugim łączy“ śpiewają chochliki w Fauście Goethego...

I nagle odzywa się przeraźliwy ryk syreny

fabrycznej. Ludzka rzeka mieni się gwiazdami roziskrzonych oczu. Zmowa, zmowa, pierwsza zmowa w Polsce!

Tłumy rosną, furka czerwony sztandar. „Precz z tyranami, precz z zdierecami, niech ginie stary, podły świat!“ Głuchną fabryki, leniwie owisły pasy transmisji i rozlega się burza śpiewu: „My nowe życie stworzym sami, my nowy zaprowadzimy ład!“

Lud polski rusza przed biura spanoszonych niemieckich fabrykantów. Nagle rozlega się przeraźliwy gwizd, stepowe „hu-ha!“ Spada kozacka zawierucha, spada grad nahajek, spada deszcz ołowiu...

— Ludzie, krew, krew, krew! Ludzie, trupy! Na miły Bóg, strzelają, tratują!...

Kto są ci „oni“? Skąd to wycie stepowe w krainie węgla i żelaza? Kto tu wpuścił te hordy dzikie?

Kto stanął między robotnikiem a jego losem? Kto mu wzbrania upomnieć się o dłuższe życie dla jego dzieci, o chwilę snu dla jego żony, o jakąś poprawę bytu dla niego samego?

Kto? Kto? —

— Myśl o ustroju socjalistycznym — szepce za plecami Mefistofeles.

Tłum wytrzeszcza oczy, nie może się popatrzeć. „Nie bij“, ryczy do kozaka.

— Myśl o terrorze — szepce dalej Mefistofeles za plecami.

Tłum ucieka bezładną masą. Już okolica „uspokojona“.

Idą do Petersburga raporty o „szczęśliwym załatwieniu nieporozumień“. Ale nie idą o tych nocach bezsennych, o tych potajemnych naradach, o tych rozmyślaniach.

To podobno Kościuszko na nich szedł? To podobno i Kiliński przeciw nim poruszył Warszawę? To podobno Legjony śpiewały, „co nam obca przemoc wzięła, mocą“...

Mocą?... A jakżeby tu dojść do tej mocy? Jakżeby tu skupić ten naród polski w jeden potężny młot, żeby z góry uderzył...

I oto nagle za plecami robotnika kosmopolityczny Mefistofeles zamienia się na wybladłą a tak stanowczą postać „swojaka“, który węglem na ścianie wypisuje: „Niech żyje niepodległa Polska“...

I oto nagle zaczynają ginąć od pchnięć śmiertelnych szpiedzy... I oto nagle zaczynają padać bomby w Warszawie, w Łodzi, w Kaliszu...

A Liga Narodowa chwytą się za głowę i pisze:

„Kto to walczy i o co?... Tego po dziś dzień nikt powiedzieć nie umie“... („Przegląd Wszechpolski“, styczeń 1905, str. 62/63).

Rząd z przed chłopą usunął szlachcica i sam na jego miejscu stanął, z przed robotnika usunął fabrykanta i sam na jego miejscu stanął, rząd rozpętał lud, rozpętał robotnika — na siebie. Ale nie koniec czynów jego „szczęśliwej“ ręki.

Rząd nie znosi przedsiębiorczości. Wobec tego właśnie rozpętał... przedsiębiorczość polską.

Zamknął Polakom dostęp do wszystkich urzędów, do „żłobu państwowego“, do wygodnego pobierania pensji na 20-go. Bo rząd jest we wszystkim oryginalny, w kalendarzu, w rozkroczu kół kolejowych, w wagach i miarach a nawet w terminie wypłaty pensji.

Polacy musieli się wziąć do handlu, do przemysłu, do wolnych zajęć; musieli nauczyć się codzień myśleć o sobie. I nauczyli się.

Rząd starał się o to, aby Polak od najwcześniejszego zarania dni swoich uczył się źle myśleć o nim. Dał mu tedy najohydniejszą szkołę i parodję uniwersytetu, aby młodzież

musiała szukać gdzieindziej myśli, wiedzy, logiki.

A ponieważ sfery „białe“ nie wdają się w żadne nielegalności, przeto młodzież musiała skierować się do „czerwonych“. I oto od dziesiątków lat datuje się stały wpływ na młodzież postępowców, którzy nie tylko nastrajali słuchaczy przeciwko rządowi, ale kładli podwaliny pod gmach nowej polskiej cywilizacji.

A ci postępowcy? Skąd oni?

Bo to w latach siedemdziesiątych już kto tylko mógł, spieszył za granicę po wiedzę. Panował wtedy w Europie pozytywizm. Przywieziono do Warszawy pozytywizm.

Rozumie się, że uznano go natychmiast za rzecz „niepolską“. Teorja ewolucji była „niepolską“, teorja walki o byt „niepolską“, teorja o przemianie gatunków „nie w duchu wiary ojców“ a teorja o powstawaniu praw moralnych była już czystym skandalem.

Kto to jest pozytywista? To taki pan, który „wierzy“, że człowiek pochodzi od małpy. Cenzura, mówiono, że jest dla tych panów łaskawą; a zatem najlepszy dowód, jaki to duch z tego wszystkiego wieje...

Napisano nawet sztukę przeciwko pozytywistom warszawskim. Narobiono dużo pła-

skich konceptów na ten temat. Zginęła srebrna łyżka? A nie był tu czasem jaki pozytywista?...

Tak samo, bez żadnych zmian, mówiono w piętnaście lat później o wszystkich socjalistach.

A rząd zacierał ręce. On ścigał wtedy białe orzełki, imię Tadeusz, imię Adam, słowa takie jak wieszcz, jak matrona, jak dobra obywatelka, przestrzegał, aby w teatrach drukowano „rząd“ a nie „rząd“ — ale nawoływań do pomnażania świadomości nie ścigał, naukowości nie ścigał, popuszczał nawet bezwyznaniowcom, aby dokuczyć katolicyzmowi. Pozytywizm na szczęście nic sobie z tego nie robił. „Mamże czuć wodowstręt dlatego, że Moskale wodę piją?“ zapytał ktoś razu pewnego jakiegoś białego pana, który poczerwieniał z oburzenia. „Ja nic nie wiem“, odparł poczerwieniały z oburzenia biały pan, „ja to tylko wiem, że postępujecie tak, iż rząd zaciera ręce“.

Tymczasem podczas rewizji żandarmerja zaczęła jakoś pomijać Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich a natomiast konfiskować Marksów, Lassalów, Engelsów...

Starzy patryjoci tak oskubali Mickiewicza z orlich piór, tak odjęli mu wszelką Irredentę, tak nim zamykali usta wszelkiemu prometeizmowi polskiemu, że wreszcie rząd zdecy-

dował się nawet udzielić pozwolenia na... postawienie mu pomnika w Warszawie.

Boć gdy chodziło o to, jak Mickiewicz ma na pomniku wyglądać, sam Ludwik Górski powiedział: „Nie chciałbym widzieć Mickiewicza w Warszawie z okresu „Ody do młodości“ ...

A tymczasem działa się isticie Owidjuszowskie metamorfozy.

Pożytywiści warszawscy „burzyli wszystko, czując siłę w łonach, świat odbudować lepszy i piękniejszy“, jak śpiewał F. H. Nowicki, choć nie o pozytywistach.

Zmienili pogląd na świat, pogląd na człowieka, pogląd na stosunek człowieka do świata, na stosunek świata do człowieka, na stosunek obywatela do kraju i kraju do obywatela. A także zmienili pogląd na stosunek orzełków białych do zadań polskich i zadań polskich do „imion“ Tadeuszów, Adamów, do takich słów, jak wieszcz, matrona, dobra obywatelka... i w ogóle do samych słów...

To też nagle rząd począł coś miarkować. Cenzura popuściła pismom konserwatywnym a rzuciła się na pisma postępowe. Warszawski konsystorz katolicki, korzystając z tego, wyrobił

sobie u Hurki prawo cenzurowania świeckich książek, o ile poruszałyby religję i historję świętą. Księża cenzurowali Gawalewicza „Legendy o Matce Boskiej“, Sienkiewicza „Pójdźmy za nim“, „Quo vadis“, pisywali łokciowe sprawozdania po rosyjsku do cenzury, dlaczego tę lub inną książkę należy całkiem zakazać, chcieli się nawet dobrać do „Duchów“ Świętochowskiego a tymczasem dobrali się... do Krasieńskiego, bo gdy Tadeusz Korzon znalazł w bibliotece Zamojskich „Modlitwy Krasieńskiego“, ksiądz kanonik Załuskowski przekreślił wyraz „Modlitwy“ i napisał „Myśli pobożne“...

To też wyżej cytowany Fułton powiedział: „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego rząd przesładuje katolicyzm; on prawosławiu nie szkodzi a doskonale pomaga nam tępić socjalizm“.

Czy to tylko Fułton tak mówił? Ale o tem potem.

Niebawem jednak pokazało się, że w słowie pisanem wyczerpano wszelkie konsekwencje.

I to zarówno w słowie „białem“ jak „czerwonem“.

Resztę można było zrobić albo w delegacjach do Petersburga, albo w robocie podziemnej.

Uгода zaczęła jeździć do ministrów, przyj-

mować u siebie generał-gubernatorów, budować cesarzowi tryumfalne bramy a Pozytywizm, który się tymczasem zmienił na Postęp, musiał pracę swoją rozdzielić. Naukowość pozostała, jawna działalność społeczna zesza „pod ziemię“.

Postęp dostarczał działaczy społecznych, słał agitatorów pomiędzy lud, pomiędzy robotników a kiedy już potworzyły się wyraźne partje, on stale kadrom komitetowym i agitatorskim dostarczał materiału ludzkiego, odświeżał te kadry nowymi duszami, nową a niezużyta korą mózgową, nowymi nerwami, nowymi zapasami energii...

Postęp? Już nie postęp. Poprostu — Intelekt.

Tak, intelekt polski stanął po stronie dążeń ludu, dążeń robotnika, dążeń szlachetniejszych żywołów miejskich. Intelekt polski rozporządzał nieogarnionymi zapasami optymizmu, wiary w przyszłość, nadziei, że życie musi znowu kiedyś mieć jakiś sens i że, może już niebawem, zacnie się lepiej dziać w Polsce.

A kto za tym intelektem nie poszedł, ten musiał popaść w bezgraniczny pesymizm, ten widział nawet to, czego nie było, ten jęczał, że cały „typ życia naszej młodzieży uniwersyteckiej stał się podobny do rosyjskiego“,

(„Przegląd Wszechpolski“, marzec-kwiecień 1905, str. 174), „że jeszcze kilka takich stuleci, a stracimy tytuł do miana społeczeństwa“ (str. 175), że nawet „rodzina nasza upodobniła się w pewnej mierze do rosyjskiej“ (str. 183). I rzeczywiście. Na to, żeby tak sądzić społeczeństwo polskie w „marcu-kwietniu 1905“, trzeba było nie siedzieć w Warszawie i być Romanem Dmowskim.

Tak, narzekano, iż Rzeczpospolita Polska upadła, bo nie posiadała obywatelskiego ludu, bo nie posiadała stanu średniego, bo nie posiadała miast, bo zwaśnione rody prowadziły rydwan polityki polskiej.

A teraz Polska, która się buduje, właśnie posiada robotnika-obywatela, buntujący się przeciw rządowi lud; wszystkie warsztaty kultury przeszły do rąk stanu średniego, czyli miejskiej inteligencji, mamy Wielką Warszawę, a rydwanem polityki polskiej kieruje polski — intelekt.

Oto wyniki zasadniczych przeobrażeń ostatnich czterdziestu lat.

Dało to nam źródłisko, z którego w chwili obecnej wytryska rewolucja.

Tak, to jest polskość rewolucyjna. Ale przyjrzyjmy się w ogóle bogactwom, jakimi polskość rozporządza.

W czasie najsroźszej niewoli zakwitła u nas literatura i sztuka. Przed rokiem 1863 Klaczko wątpił, czy w ogóle kiedykolwiek będzie istniało polskie malarstwo...

A dziś wiemy, że nie tylko istnieje polskie malarstwo, ale, że posiada cały szereg genialnych kierunków!

Zakwitła literatura, a gama tonów jej olbrzymia. Wszystkie barwy, wszystkie odcienia posiadają swoich wybitnych reprezentantów. Każdy objaw życia znajduje swoją rekonstrukcję literacką. Na każde drgnienie polskiej duszy odpowiada echem — pieśń, dramat, opowieść. O przeszłości głoszą nam Wyspiańscy i Żuławscy, o terażniejszości Reymontowie i Żeromscy, w przyszłość ulatują Świętochowsky i Czerwińscy.

Budzi się rzeźba, rozwija się muzyka, architektura, sztuka stosowana.

Żyje, choć skromnie, nauka. Nawet pisma perjodyczne, poświęcone filozofji, znajdują licznych abonentów.

Ruch umysłowy, artystyczny, literacki, przemysłowy, oświatowy, pedagogiczny, społeczny — na całej linii.

Wzrost czytelnictwa ogromny. Rok rocznie powstaje kilka nowych księgarń.

Gazety czyta już w Warszawie każdy do-
rożkarz. Książka i broszura trafia do najdalej
położonej wsi.

Spolonizowano handel i przemysł. Spolo-
nizowano finansistów. A ci finansiści rozpo-
rządzają każdej chwili kapitałami, nie tak, jak
magnaci, których kapitały tkwią w lasach,
ziemiach. Kiedy magnat wygrzebie z trudem
jakieś 5000 rubli na cele publiczne, finansista
spynie 300.000 rubli...

Ofiarność publiczna jest w ogóle nadzwyc-
zajna. A zwłaszcza w stanie średnim, wśród
warszawskiej inteligencji. Wszelkie ruchy spo-
łeczne i rewolucyjne żyją tylko z ofiar war-
szawskiej inteligencji.

A ta warszawska inteligencja ma setki rąk
i ku niej wyciągają się setki rąk, z Piotrkowa,
Łodzi, Kalisza, Radomia, Lublina, Siedlec...
i dalej... z Wilna, Mińska, Kijowa... i jeszcze
dalej... z Charkowa, Odessy... i najdalej...
z Irkucka, Sachalinu...

Warszawa!...

Warszawa jeszcze przed rokiem — a dziś!

To też w chwili, kiedy istotnie ciężko żyć
było w Warszawie, rzekł ktoś raz pewnego:

— Czekajcie, niech no Moskale wyjdą

z Warszawy, a Warszawa w ciągu trzech dni będzie tak porządna, że ha!

Moskale jeszcze nie wyszli a Warszawa „w marcu — kwietniu 1905“ już jest taka porządna, taka dzielna, że mimowoli człowiek za Słowackim powiada: „Ojczyzna moja, pani słoneczna“...

I dziś, kiedy w tej Warszawie nietylko każdy robotnik, ale każde dziecko walczy o Polskę, Klub krakowskich Konserwatystów powiada, że to wszystko „kosmopolityczne i międzynarodowe“ (Z Doby Strajków, str. 4) a panowie Dmowscy kręcą nosem i bąkają o „niezdrowem zjawisku“ („Przegląd Wszechpolski“ marzec — kwiecień 1905, str. 184), doznając wobec tego ruchu „uczucia niewłaściwości...“

I ci panowie mówili o wspólności celu?

Ach, ten wspólny cel został przeniesiony rzeczywiście do czwartego wymiaru, do idei, do zasady. Ludzie przerazili się, że „wspólny cel“ może się stać niedogodnym dla jakiegoś profesora krakowskiej wszechnicy, albo dla warszawskiego potomka „rodu, co z wrogiem nie znał miru“, a który w prostej linii wy-

wodząc się nawet od autora tych słów, podpisuje memoriał „23“, w którym powiada, że „twardo chce stać przy tronie“ owej „Moskwy-piekła“, gdzie tam! — bo Moskwa dziś całkiem porządnie walczy o wolność polityczną, ale... cara, tego cara, na którego sama Moskwa dziś się porywa!

Kiedy delegacja, wybrana mniej więcej z łona „23“, nawiązała stosunki z rosyjską opozycją, ta wręcz ich zapytała, czy się decydują iść ręką w rękę z partjami najskrajniejszymi, jak to czyni zrewolucjonizowana arystokracja rosyjska. Na to nastąpiła odpowiedź nie biała, ale błada. Więc zapytano wyraźniej:

— Prawdopodobnie chcecie osobnego sejmku w Warszawie?

Wtedy panowie ci bardzo się przestraszyli i odrzekli:

— My, Polacy, boimy się, że sejm polski mógłby nam samym... zawrócić w głowie.

Po rosyjsku brzmiało to „perewernuć w gołowie“ i jest podobno bardzo — nie po rosyjsku.

Wtedy rosyjscy opozycjoniści lekko się uśmiechnęli i zapytali:

— Czegóż tedy chcecie?

— Jakiejś skromniejszej nazwy... Ot, na-

przykład... Rady Ziemskiej Królestwa Polskiego...

Ziemskiej?... charakterystyczne. Tedy rosyjscy opozycjoniści uśmiechnęli się nieco zjadliwie i zapytali:

— A nie boicie się, że to wam przewróci w głowie? „Perewerniot w gołowie“?...

Sprawozdawca nasz, donosząc o tym fakcie, zakończył list słowami następującymi:

„Kiedy mi o tem świadkowie sceny powyższej opowiadali z uśmiechami i uwagami ironicznymi, nie uwierzycie, ilem się najadł wstydu i wściekłości“.

Są ludzie, którym czupryna wyrasta wprost z brwi i dlatego mówi się o nich, że mają „czoło“... Takie zarośnięte czoło nazywają „rozumem politycznym“, który to rozum, celem zdania sprawy z opisanej powyżej misji, na dzień 18 grudnia 1904 roku zwołał do mieszkania jednego z radców Tow. kredytowego ziemskiego w Warszawie — Kongres Nieboszczyków.

A już wtedy było po memorjale Tyszkiewicza i po utworzeniu się Komitetu Wieców Polskich w Warszawie.

Zapukano do Kancelarji Wieców. Drzwi się otworzyły i weszła godziwa, istotnie szanowna postać.

— Jestem ze stronnictwa Białych.

— A my tu stanowimy właściwie Stronnictwo Idei Bezdomnych.

Nastąpiła wymiana ukłonów, podanie rąk, podsuwanie krzesel.

— Panowie wiedzą, że my, Biali, trochę skostnieliśmy, że trzeba nas ożywić, rozruszać, boć to „chwila osobliwa“.

— Tak, „chwila wielce osobliwa“.

— Pan Tyszkiewicz w memorjale swym właściwie nas pominął.

— Sądzimy, że wśród „gości“, których zaprosił do obrad nad kwestją polską, znaleźli się podobno także przedstawiciele panów.

— Tak, ale tylko... podobno. Zażądaliśmy od p. Tyszkiewicza odpisu memorjału a następnie postanowiliśmy na nasze obrady ziemiańskie zaprosić i inne żywioły, choćby najskrajniejsze.

— Aż tak daleko panowie idą?

— Tak, właściwie powinniśmy teraz iść ręką w rękę z żywiołami najskrajniejszymi.

— Bardzo obiecujące.

— A widzą panowie! Ale nas staruszków trzeba rozruszać. Więc gromów, błyskawic i tej krzty... serca, co to zimę naszą zamieni w wiosnę.

— Spróbujmy...

— Spróbujmy.

.....
Godzina ósma wieczorem. Sala już zapelniona. Ziemiaństwo przeważa. Te twarze z portretów, te wąsy z pod Wiednia, te animusz — zaraz — animusz zastąpiła wytworna elegancja i słabo ironijny uśmieszek ludzi, którzy... imitują ironję.

O, bo ironja to wielka rzecz!

Ale wśród tych wąsów, wśród tych twarzy z portretów i tego animuszu imitowanej ironji, coś nieco dużo elegancji „od siekiery“ i ironji „de grubis“. Może to kupcy, „albo mieszczan też synowie“? Tamtych widać około pieca. Tu typ całkiem inny. Niepodobna oprzeć się wrażeniu, że kilku panów wygląda tak, jak-gdyby ich świeżo wyjęto z kufra XVIII-go wieku, odprasowano i wyperfumowano, aby przygłuszyć woń naftaliny, bo mole jedzą...

Panów polskich mole jedzą... A oni myśleli, że nie mole, tylko Moskale?...

Typ naftalinowy przeważa. Ale to wrażenie optyczne. Co powie ucho?

Jeden z radców odczytuje memorjał pana Tyszkiewicza, którego autorowie, jak się pokazuje, Wszechpolacy, starali się o to: 1) żeby memorjał był krótki i ministra nie zniechęcił swymi rozmiarami, 2) żeby zawierał rzeczy

zasadnicze i do zdobycia możliwe. Memorjał w takim duchu zredagowany żąda: 1) wolności języka polskiego w zakładach naukowych i instytucjach rządowych, 2) prawa wstępu dla Polaków do wszystkich urzędów, 3) samorządu ziemiańskiego i mieszczańskiego, 4) wolności dla wyznania katolickiego i prawa bezpośredniego porozumiewania się z głową kościoła, a także swobody dla unitów, wreszcie 5) wskrzeszenia akademji duchownej w Warszawie.

Wywiązuje się dyskusja. Czy są to żądania „zasadnicze“?

Tak, odpowiadają jedni mówcy. Nie, mniemają drudzy, to są bardzo skromne żądania; tu bynajmniej niema żądań podstawowych. Jedyne podstawowe żądanie, to domaganie się izby prawodawczej w Warszawie, domaganie się zmiany ustroju państwowego, domaganie się praw człowieka, domaganie się tego, czego żądają Rosjanie, plus kwestje polskie.

Na twarze typu naftalinowego występują uśmiechy imitowanej ironji. Na twarze „elegancji od siekiery“ wypływa osłupienie, a na twarze typu „de grubis“ rumieniec burakowego gniewu.

— To są żądania wygórowane! — ozwał się chór, ale nie „nocnych ptaków“.

Występuje Dusza Zgromadzenia.

Ta dusza ma „ton, co tętnem jest stulecia“ Typu Naftalinowego. Dusza ta ma wzrost swego nieletniego synka, barki swej nieletniej córeczki, bladość i zmęczenie wszystkich przez nią samą wyklinanych dekadentów i animusz tych, co „z wrogiem nie znając miru“ oświadczyli swego czasu: „Najjaśniejszy Panie, w twojem wielkodusznem samowładztwie naród nasz widzi“...

Dusza Zgromadzenia mówi. Mówi płynnie, jak płynnie cieknie łagodny strumyczek, przypominający niekiedy słodkie Rozbickiego: „drała, drała“...

— Panowie! Musimy liczyć się z tem, co dostaniemy, co rząd nam da, musimy być bardzo „ostrożnymi“ (Neo-gramatyka ostatniego czterdziestolecia). Nie możemy żądać za wiele!...

Stronnik Idei Bezdomych, słuchając tego Animusza Pokory, wykreśla w myślach swoich raz na zawsze wyrażenie z przyszłego słownika polskiego, które to wyrażenie brzmi: Buta szlachecka.

Dusza Zgromadzenia mówi dalej:

— I na kogóż możemy liczyć? Na ziemców? Przecież oni o nas zupełnie nie pomyśleli. O Finlandczykach pomyśleli, a o nas całkiem zapomnieli...

— Tak, ale Finlandczycy już w styczniu weszli w porozumienie z nimi, a panowie, gdy się zjawili w Warszawie, nie chcieliście z nimi nawet gadać...

— Wstyd, wstyd!... słychać z pod pieca.

Dusza Zgromadzenia prostuje się. Patrzy błagalnie w lewo. Podnosi się Cień Człowieka i poczyna mówić głosem zaświatowym:

— Panowie! Ja skończyłem na uniwersytecie wydział przyrodniczy...

Stronnik Idei Bezdomnych staje się „cały uchem“, jak mówi Szekspir. Wydział przyrodniczy? Nareszcie! No, ten nam powie!

Cień Człowieka obejrzał się mrocznie dookoła i rzekł głosem polnego wietrzyka, kiedy zabłąkawszy się na cmentarz igra z listkami róży:

— Tak, panowie, skończyłem ten wydział i mówię wam: nie zauważyłem w ruchu opozycji rosyjskiej ani jednej nuty chrześcijańskiej...

Ależ, Cieniu Człowieka, czyż ty zawsze będziesz kończył wydziały przyrodnicze... nadaremno?

Stronnik Idei Bezdomnych przeciera oczy. Może się myli? Patrzy po wszystkich twarzach. Uroczyście spuszczenie oczu, które mówi:

— Wielkie Tak, Cieniu Człowieka!

Wstaje długi potomek „niemirnego rodu“ i oświadcza, że objaśni obecnych, jakie odbył narady z przedstawicielami ziemców.

Ziemcy radzili nam... nic nie robić... Radzili czekać, rozważać, przypatrywać się. Mówca radzi to samo. Należy „nam“ bardzo rozważnie, bardzo przezornie badać sytuację, bo chwila jest istotnie... osobliwa. Możemy stracić, możemy zyskać; ale w takiej chwili osobliwej niewolno... ryzykować, bo straciwszy coś, jużby się tego nigdy nie odzyskało. Więc sza, panowie, sza, czekać, żadnych bezrozumnych szałów, żadnych porywów, sza, jedno sza...

Stronnik Idei Bezdomnych patrzy na tego potomka wielkiego rodu, „niemirnego rodu“ i w myślach powtarza sobie, co już raz temu „niemirnemu rodowi“ było powiedziane: „Je-szcze co? Ani zamachu, cały naród hasła czeka a głos pierwszy z ust człowieka był głos: Stójmy!“ W pewnych „niemirnych rodach“ to „stójmy“ jest rzeczywiście — dziedziczne.

Skończył. Ażali „wielki krzyk na sali?“ Ależ tu nie Walenrodyzm!

Idzie szmer: „Dość już krwi przelewaliśmy za kraj, dość było naszych bohaterstw!“

Jakto? Gdzie? Kiedy?

Panowie, czy koniecznie krew? A bojkot

rzędu? Można nie płacić podatków — woła Żywa Współczesna Dusza.

Zrywa się typ „De Grubis“.

— Przepraszam pana dobrodzieja, ile pan płaci podatku? Bo ja płacę zbyt dużo, abym mógł takie szaleństwa ryzykować!

Idzie po sali szept imitowanej ironii o owej Żywej Współczesnej Duszy:

— Urzędnik kolejowy... Ba, urzędnik kolejowy... Ha, ha, ha!

Ale co ten typ „De Grubis“ traci na niepłaceniu podatków? Najwyżej kary! Za pozwoleniem! Jakto: „przelewaliśmy krew!“ Jakie „my“?

Wstaje tedy Stronnik Idei Bezdomnych i proponuje:

— Ponieważ wynika z tego, co tu było powiedziane, że o bojkocie podatkowym może mówić tylko ten, który podatki rzeczywiście płaci, przeto Stronnictwo Idei Bezdomnych przez usta swego dzisiejszego reprezentanta proponuje obecnym, aby o przelewaniu krwi mówili także tylko ci, którzy ją istotnie przelewali, albowiem bohaterstwo, rany i tym podobne specjalności indywidualistyczne bynajmniej dziedziczne nie są...

Zrywa się typ „De Grubis“.

— Do mnie było pite? Dobrze! Oto po-

wiem: byłem w powstaniu i wołam teraz: palnąłem wierutne głupstwo!

Odpowiada Stronnik Idei Bezdomnych bardzo grzecznie:

— Aczkolwiek szanowny obywatel sam nie żywi szacunku dla swych własnych czynów, to jednak pozwolę sobie być odmiennego zdania co do samej materji wogóle...

Powstaje czysto odruchowy a krótki śmiech i w tejże chwili wysuwa się z kąta Ziemianin-Postępowiec, a zwracając się do Stronnika Idei Bezdomnych jako swego dawnego kolegi, powiada:

— Ty, nie wierz mu, on kłamie, co — łyże, on wcale nie był w powstaniu!...

Przewodniczący daje znak i znowu przemawia potomek „niemirnego rodu“.

— Panowie pytacie, co robić w tej chwili? Akcja gminna o język polski? Nie, tylko strzedz się, aby nie rozagitować ludu, broń Boże nie rozagitować ludu... Oto jedyna rzecz i ona się robi. Naznaczono mobilizację na Święta Bożego Narodzenia, kiedy to każdy człowiek myślą wznosi się do Stwórcy, do niebios, do idei wieczystych...

Całe zgromadzenie pochyla głowy a potomek „niemirnego rodu“ mówi dalej:

— Wobec tego uproszono rząd, aby prze-

niósł mobilizację z dni świątecznych na pierwszy dzień poświęcony...

Całe zgromadzenie podnosi głowy. Uśmiech błogiej radości rozpromienia twarze. Genjalna myśl! Aplauz ogólny.

Towarzystwo chwytą tę myśl w imię „rozszerzymy ją, rozdalmy“ i oto wstaje Igła Magnesowa, nosek swój obracająca ustawicznie w stronę potomka „niemirnego rodu“ i powiada z taką powolną, rozkoszującą się satysfakcją:

— Piszę się na każde zdanie pana hrabiego, na każdą myśl, powiem nawet: na każde słowo. A do tego pierwszego obywatelskiego czynu pragnąłbym tylko dodać jeszcze drugi, równie doniosłego znaczenia. Oto niechaj w tej „osobliwej chwili“, kiedy wre walka na Dalekim Wschodzie, kiedy oblężany jest Port Artura, kiedy krocie naszego ludu giną na odległych polach Mandżurji, tak, niechaj ktoś pięknie, po literacku, imieniem całego polskiego narodu napisze... protest przeciwko niemieckiej Hakacie...

Na wszystkich twarzach spuszczenie oczu, które mówi: „Otoś trafił w sedno i otoś nasz! Taki nasz, taki ogromnie nasz! Wielkie TAK, ziemianinie z krwi, kości i pomysłów!

Gdzież opozycja Białych? Żali jej niema?

Jest, patrzcie, jest! Zgrzyta u ścian zębami... Nie mówi? Milczy? Wysyła literatów, adwokatów, kupców? A sama?

Nie śmie mówić...

Stronnik Idei Bezdomych zadaje sobie w tej chwili pytanie następujące: gdyby tu siedział stenograf i spisywał wszystko, co było mówione, a nazajutrz dał do przeczytania tym „ogromnie naszym“, zawołaliby chórem: „Ależ to haniebnym paszkwil!“

Oto Kongres Nieboszczyków.

Stronnik Idei Bezdomych stawia sobie jeszcze jedno pytanie: Ażalim jest wśród inteligencji? Ażali to czasem nie maskarada? Czy lokaje, ekonomy i różne Bartki od wiedeńskich nie pomyły się czasem, nie poprzebierały się za swych własnych panów, nie rozparły się na fotelach i nie udają... ludzi kulturalnych?

Boć znane są w Warszawie... bale kelnerów, którzy przybierają nie tylko fraki, ale i tytuły swoich panów... Kochany książę... Ależ pozwól, hrabio... A gdy się pokłócą o dziewczynę, wymyślają: psia-ścierwo twoja mać...

Stronnik Idei Bezdomych znowu przeciera oczy. Wstyd mu trochę, wstyd, jak gdyby się znalazł w towarzystwie ludzi, których brał na serjo, a których na serjo brać nie można...

Tak, znalazł się w towarzystwie ludzi,

k którzy cały animusz czerpią stąd, iż poprostu nie wiedzą, o czym się w ciągu ostatnich czterdziestu lat w Polsce pisało i mówiło...

Przecież bywało się wśród kupców, adwokatów, chłopów, robociarzy, na posiedzeniach młodzieży gimnazjalnej... Fe, to chyba jakaś pomyłka! Panie „zapraszający“, ty „godziwa postaci“, pan sobie chyba zażartował z biednego Stronnika Biednych Idei Bezdomnych, boć przecież dziś... pokojówki myślą i mówią bardziej po europejsku... Może to kongres przebranych kelnerów? Czyż to istotnie kongres — polskich panów? Tych, co to rękę wyciągają i żebrzą: panie cesarz, panie minister, panie Mirski, słowo najświętsze daję, że powstania nie będzie... Tylko pozwól jawnie radzić nad tem, jakby można pięknie, po literacku napisać protest przeciwko agrarjuszom niemieckim, o ile nie głosują za polityką celną...

— Panowie, przez Bóg żywy! Jeżeli nie słuchacie myśli, słuchajcie faktów! Oto był oficer, wyznaczony do pochodu na Daleki Wschód. I oto wygłaszał do innych oficerów takie mowy, że rząd postanowił nie wysłać go na Daleki Wschód, bo rozklei całą armję...

Zrywa się „Przeciwstawnik Żywiółom Przewrotu“ i krzyczy wściekle:

— Kłamstwo! To nie mógł być woj-

skowy, bo wojskowy wiedziałby, że za taką rzecz — kulka w łeb!

— Panie „Przeciwstawniku Żywiołom Przewrotu“, ażali nie jesteście na kongresie generał-gubernatorów? Boć tak odezwaćby się mógł tylko jakiś Czertkow...

Koniec, koniec, bo potomek „niemirnego rodu“ wychodzi. Jeszcze jakiś mówca prosi o głos. Niepodobna. Potomek RODU wychodzi a ponieważ „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, przeto trzeba panu hrabiemu na pożegnanie ścisnąć rękę, podać paltot, pomódz włożyć kalosze a pan hrabia może przez pomyłkę sięgnie do kieszeni kamizelkowej, gdzie przygotowane pięciokopiejczkówki...

— Żegnaj radco...

— Żegnaj, kochany hrabio!

.....
Quid sum miser tunc dicturus? Quem patronum rogaturus?

Aha...

Jest, jest!

Wstać, wszyscy wstać i zaśpiewać chórem:

— *REQUIESCANT IN PACE!*...

.....
Ale nie, nie, nie, nie... Nie wszyscy tacy, jeszcze są, są dalibóg, są i liczni... Wszak nawet Daszyński przyznał w swej broszurce „Szla-

chetchyzna i odrodzenie Galicji“, że szlachta Królestwa Polskiego zawsze składała ofiary na ołtarzu ojczyzny.

I piszący te słowa zaświadczy, że tylko głównie reprezentacja ziemiaństwa jest strupieszala, że to ziemiaństwo posiada w warszawskim „Słowie“ wprost nieuczciwych przedstawicieli...

Jakto, oni wszyscy mają być ugodowcami, niedołączkami, cieniami ludzi?

Po wiecu rodzicielskim dnia 19 lutego pewien szlachcic imieniem swego powiatu zadeklarował 10.000 rubli na bomby...

„Ej plusk, plusk, rybka mała“... Szlachcicu, czy dotrzymasz?...

Świeżo za agitację o język polski w gminie zaaresztowano chłopów i obywateli. Chłopów zapchano do brudnego „hareštu“, panom zaproponowano wygodną cytadelę. Nie, odpowiedzieli panowie, będziemy z chłopami tu razem siedzieli...

„A wtem szczupak w ślad pomyka“... Ej, szlachcicu, a wytrzymasz?... Podobno zmyliły cię zmowy agrarne?...

Wytrzymaj!...

Już po dniu powszechnej zmowy w Warszawie dnia 28 stycznia i po dniu 19 lutego, t. j. po wiecu, na którym tysiąc sześćset oby-

wateli warszawskich oświadczyło Szwarcowi, że społeczeństwo polskie samo zamyka w Polsce szkołę rosyjską, piszący te słowa jechał z Lublina dalej w świat. W przedziale naprzeciwko niego siedziało dwóch szlachciców.

Piszący te słowa opowiadał im, jak to dnia 28 stycznia stróże zrywali blachy z czapek i wołali „polskie święto“, jak to robotnicy wstrzymali wszystkie fabryki, wołając „polskie święto“, jak to cała młodzież wyroiła się ze szkół, szkółek, uniwersytetu, politechniki na „polskie święto“, na „wolności święto“...

Jeden szlachcic był w pełni lat, drugi mocno stary, ale jary. Słuchali, patrzyli. Najpierw ich oczy były jak dwie czarne, głębokie, nic nie mówiące plamy. Potem zatlił się w tych oczach jakiś płomyczek. Potem płomyczek ten rósł, rósł, aż wreszcie oczy owe rozgorzały, ach, jak rozgorzały, twarze stały się inne, jakies nadziejne, jakies żywotne, jakies śmiałe, jakies takie, co to, gdyby się poszło, to już na całego...

„Gdybym ja był tym szczupakiem“... Hej, pamiętasz, szlachcicu? No, co? Pójdiesz na całego?...

Na początku był chaos a z tego chaosu wynurzył się głos jak przestroga, jak pogróżka losowa:

— Kiedy w roku 1863 panowie szli do powstania, to chłopci do powstania iść nie chcieli. A kiedy teraz lud robi rewolucję, to panowie do rewolucji przystąpić nie chcą...

Spór Bojki z Jordanem odżył a nawet nabrał dziwnej grozy. Jeżeli bowiem przepowiednia Bojki będzie się tak dalej sprawdzała, to kogoś trzeba będzie z Polski wyrzucić... Chłopów, czy panów?

Bo skoro nie mają rozumu, aby iść ręką w rękę do wspólnego celu?...

Wspólnego celu?

Wszyscy mieli to szczytne zdanie na ustach, ale w istocie przenieśli je do owego nieszczęsnego czwartego wymiaru, do idei, w którą każdemu wolno wierzyć, do zasady, która może sobie nieszkodliwie istnieć...

A w rzeczywistości wielu postępowało wbrew tej zasadzie i nawet djabło szczerze pisało o tem. Czyż nie jest djabło szczerym ów „List otwarty obywatela Litwy do profesora Zdziechowskiego“? List w sprawie obecności szlachty litewskiej pod pomnikiem „imperatorowej“ Katarzyny, gdzie jest powiedziane, że „możność piastowania urzędów w kraju własnym, wybory szlacheckie (!), ziemstwa bez ograniczeń — to suma dezyderatów n a s z y c h (?!)“ A dalej: „Chcemy, aby

rząd lojalność naszą uznał". Niech Dziad-Poeta milczy, bo Wnuk Poety chce „twardo stać przy tronie“, bo grzechy tak „mazać się winny“, żeby „rząd musiał uznać lojalność“ szlachty...

Bojko ma głos, niech ma głos do Jordana i niech go zapyta: panie Jordan, kto jest teraz bydlę?

Ale niepodobna przełknąć tak łatwo tego znamienego listu. Tam jest powiedziane jeszcze, że: wolność kupowania majątków stanowi podstawę zabiegów szlacheckich na Litwie. Dla nadziei, dla cienia nadziei uzyskania tej wolności, jest obowiązkiem iść pod pomnik „imperatorowej“, jest obowiązkiem... dać się opluć i moralnie skopać. Jakże niewinnym jest wobec tego ów szlachcic gdzieś z pod Wyszogrodu, który swego czasu powiedział: „Ależ my dla ojczyzny gotowi literalnie wszystko poświęcić, rozumie się prócz życia i majątków“...

I oto jeszcze jedno zdanie z tego szczerego listu. Rząd powinien rachować się z szlachtą litewską, gdyż ona jest „naturalnem przeciwstawieniem żywiołom przewrotu“. Fułton mó-

wił to o katolicyzmie, ów szlachcic litewski mówi to o całej litewskiej szlachcie...

Sądziecie, że to może tylko retoryczny zwrot? Że w praktyce nie urzeczywistniło się nigdy takie „przeciwstawienie się“ żywiółom przewrotu? Nie, to są całkiem konkretne słowa. One znaczą... zaraz...

Już w Warszawie grzmiało, już padały bomby, już lała się krew. Wtedy przyjechał do Wilna pewien prelegent, aby tam, wedle sił i możliwości... niecić Polskę i Ludzkość.

A tam szlachta chadzała pod pomnik Murawjewa i Katarzyny, biskup Kopp pod pomnik „ukoronowanej nierządniczy“ przyszedł pokłonić się bratu despoty, tam on wypisał swe nazwisko na sztandarze, ofiarowanym Grypenbergowi w chwili odjazdu na Daleki Wschód, a po upadku Portu Artura pisał do „Wileńskiego Wiestnika“: jakże żałuje! Sądził, że zaśpiewa „Te Deum“ a tu żałoba...

Ludzie, gdzież Chrystus i jego zasady? Kapłan błogosławiący odchodzący na ludzką rzeź zastęp morderców? Szlachta i kler pod pomnikiem kochanicy Potemkinowej? Ludzie, czy to może tak być?

Ludzie, tam Warszawa zrywa się do boju! Tam dzieci rzucają nikczemną szkołę rosyjską. Pytacie, co robić? Pamiętajcie, co Chrystus

na to odpowiedział, gdy wziął między pytających dziecię? „Stańcie się prości jako to dziecię, a wejdziecie do Królestwa Niebieskiego“...

Ludzie, stańcie się prości a szczerzy jako to dziecię warszawskie, a wejdziecie do Królestwa Wolności...

.....
Nagle do prelegenta przypada pewien znajomy.

— Panie, źle. Ropp powiedział, że w tej chwili jedzie do gubernatora Pahlena, z którym przez tegoż żonę jest spokrewniony, że będzie go prosił, aby panu zakazał wszelkich stosunków z publicznością wileńską.

— Skąd pan wie, że Ropp to powiedział?

— O, tu jest pan Wilhelm von Samson Himmelstierna (Himmelszerna). Jemu osobiście biskup to powiedział.

— Panu, panie Wilhelmie?

— Tak. Ropp uważa to za rzecz całkiem naturalną.

W niedzielę z kazalnicy wileńskich już grzmiąły głosy przeciwko „prelegentowi, co to przyjeżdża z Warszawy bałamucić umysł“...

Prócz tego jakaś hrabina, czy margrabina, bo nazwiska cytować niepodobna, już się w pamięci zatarto — siada do karety i jedzie do generał-gubernatora Frezego...

Freze szepnął Pahlenowi, Pahlen policmajstrowi von Meyerowi, von Meyer swemu pomocnikowi. Wpadli do prelegenta, porwali go razem z książkami, stawili przed von Meyerem, który — istny kotek z fjołkową wstążeczką na szyi — rzekł cały w uśmiechach:

— Władze warszawskie oskarżają pana, że agitowałeś przeciw rządowi we wszystkich warstwach społeczeństwa. Ale — tu rzecz się zabawnie komplikuje — pan posiada zaciętych wrogów w samym społeczeństwie — doniesiono nam...

— Kto doniósł?

— Zażitocznyje ludi...

Zawrzało w Wilnie. Ależ dać Bojce głos! Niech pyta: panie Jordan, kto tu jest teraz bydlę?...

Do tego stopnia przekonywać rząd o swej lojalności, żeby się posunąć aż do — d e n u c j a c j i...

Nazajutrz krążył już po Wilnie w hektografowanych odbitkach list treści następującej:

„Wielebny Księżę! — List Księdza wpawił mnie w zdumienie. Całkiem niepotrzebnie poszukuje ksiądz człowieka, atakującego Jego honor, bo to, co sam ów list zawiera, jest dla mnie i dla całego nieuprzedzonego świata rzeczą wystarczającą. Nie chodzi o to, „co“

Ksiądz przeciwko mojej działalności z ambony głosił, ale „że“ głosił. Wszelkie prelekcje polityczne są przez prawo rosyjskie surowo wzbronione, jeżeli tedy Ksiądz z ambony wystąpił przeciwko prelegentowi choćby w słowach najostrożniejszych, to fakt ten jest zwróceniem uwagi na przybysza i rzeczywiście wymienianie nazwisk i czegoś tam jeszcze zupełnie było niepotrzebne. Gdyby Ksiądz wyjechał bez paszportu do innej gubernji i gdybym ja tylko publicznie rzekł: oto przyjechał pewien Ksiądz bez paszportu, podobne odezwanie się moje byłoby dla czujnej policji wskazówką wystarczającą. Taką wskazówkę otrzymała policja z ambon kościołów wileńskich i skorzystała z niej skwapliwie. Jeżeli Ksiądz uważał, że działalność moją należało zwalczać, trzeba było czynić na tej samej drodze, więc na wiecach. Ja mównicy publicznej do dyspozycji nie posiadałem, więc i nie na mównicy publicznej winien był Ksiądz przeciwko mnie występować. A chyba wiadomo było Księdzu, że ja nigdy się przed opozycją nie kryję, że jej szukam, że chcę ją widzieć oko w oko i mówić z nią twarz w twarz. Księdzu na ambonie będącemu odpowiadać nie można; kościół, to nie miejsce do dyskusji. Wyjeżdżam z kraju z tem smutnem przeświadczeniem, że

księża wileńscy publicznie z ambon denuncjują przed policją polskich literatów obozu przeciwnego, że nie przybywają na wiece, aby ich zwalczać słowem Chrystusowem, ale słowem wyroków generał-gubernatorskich. Jeżeli Ksiądz pisze o honorze, to widocznie obaj musimy inne mieć o tym honorze wyobrażenia, inne wyobrażenia o metodach walki, bo my, od pnia katolickiego oderwani, aczkolwiek sami wiary nie posiadamy, nigdy w pismach naszych nie denuncjowaliśmy Jezuitów, przyjeżdżających z Galicji, choć bardzo byliśmy przeciwni ich działalności.

Wyjawianie z ambon nielegalnych zebrań jest denuncjacją polityczną, powtarzam: wyjawianie, bez względu na słowa, w jakie to „wyjawienie“ zostało ubrane. A jeżeli chodzi o honor i polskość razem, to wiadomo mi, że Ksiądz wykląda religję katolicką dzieciom polskim w języku rosyjskim i nie razi to sumienia Księdza. Mógłby wprowadzić Ksiądz powiedzieć: „Nie będę w szkole po rosyjsku wyklądał; pójdźcie, dzieci, za mną do kościoła na naukę, tam wam wszystko wyłożę“ — i wtedy dziatwa lgnęłaby do takiego Księdza.

Czy czekacie chwili, kiedy dziatwa na wzór Białej i Siedlec zbuntuje się przeciwko wam? Ale to trudno. Duchowieństwo, które uczy, że

władza największych morderców i gwałcicieli pochodzi od Boga, morderców i gwałcicieli, urządzających takie Kroże, duchowieństwo, które pod pomnikiem cesarzowej-nierządnicy przychodzi pokłonić się despotji, duchowieństwo, które błogosławi wojsko idące rzezać ludzi, duchowieństwo, które znosi cierpliwie, że jego arcybiskup umieszcza swe imię na sztandarze dla Grypenberga, na sztandarze, który ma powieść Polaków i Litwinów na ograbianie innych ludów z ich ojczyzny a na rzecz Białego Cara, ograbiać, pakować do wilczych dołów, sieć i wszystkie jary Mandżurji utykać zwłokami ciał polsko-litewskich, duchowieństwo, które w dni galowe odprawia modły za przedstawiciela najnikczemniejszego rządu — takie duchowieństwo nie jest reprezentacją ubogiego cieśli z Nazaretu, takie duchowieństwo zadaje gwałt ewangelicznym wskazówkom i biblijnym przykazaniom: „Nie będziesz zabijał“, „Schowaj, Piotrze, miecz do pochwy!“ Nie jest mi wiadome, aby Chrystus bywał na przyjęciach u Piłata i aby na rzymskich signach, zatkniętych na Pretorji ku oburzeniu całego narodu izraelskiego wписыwał swoje imię. Ale natomiast jest mi wiadome, że tylko arcybiskup Kajfasz z Annaszem do spółki wzywali pomocy rzymskiej policji

przeciwko niewygodnym prelegentom, którzy działalność ich krytykowali. Czy takie wezwanie nastąpiło w Wilnie wprost przeciwko skromnemu literatowi polskiemu, czy też było tylko pogroźką, jak wczoraj wieczorem zapewniał mnie przy świadkach pan Wilhelm von Samson Himmelszerna, to inna sprawa a raczej to zupełnie ta sama sprawa, bo intencja w tym wypadku jest tak szlachetna, że za sam czyn starczy. Ale że bezpośrednio po tych obwieszczeniach z ambon i po tych pogroźkach nastąpiło zrewidowanie mojego mieszkania i zadecydowanie przez władzę, że powinienem wyjechać za granicę, że całe Wilno i prawdopodobnie w tej chwili już cała inteligencja polska jest uderzona tą zbieżnością zdarzeń, to także jest faktem, który więcej zaszkodził opinii kleru wileńskiego, niż wszystkie ataki ateistów i wszystkie krytyki bezwyznaniowców. Ojczyzna nasza ku wolności dążąca widzi w was, księża wileńscy, ludzi kłaniających się carowi, a te ukłony są tem wstrętniejsze, że rząd was samych gnębił.

Kto zaś sięgnie do ewangelji, kto zna czyste i piękne słowa Tego, który wolał iść na Golgotę, niż na śniadanie do Pretorji, na śmierć, niż nazwisko swe umieścić na rzymskich godłach, ten widzi w duchowieństwie wileńskiem

straszliwą parodię tego wszystkiego, co bądź nieszczęśliwej i cierpiącej ludzkości przez dwa tysiące lat przyświecało jako ideał.

Nie kończę listu mego banalnemi i rutynicznemi wynurzeniami szacunku i poważania, ale życzeniem, by Ksiądz zechciał być istotnym naśladowcą Chrystusa i jeżeli słowa o honorze były szczerze, rozprawiwszy się ze swoim sumieniem, wstąpił na drogę, którą niestety w Wilnie chodzą tylko ludzie na duchowieństwo Wasze patrzący bardzo krytycznym okiem“.

* * *

W dwie godziny po napisaniu tego listu zjawiły się u prelegenta dwie czarne rewendy.

Prelegent obstupuit.

— Panie, my nie wszyscy tacy... Nie, oto dowody... Panie, oto kolega był aresztowany za działalność między ludem...

— Więc list był niesprawiedliwy?

— Nie, dobrze się stało, list był potrzebny; ale wiedz, oto my tu inni...

— Dziękuję, dajcie ręce...

— Tylko z ewangelicznego punktu widzenia nie możemy się zgodzić na jedno... Bomby! Panie, nie zabijaj...

Prelegent uderzył pięścią w stół i krzyknął:
— To nie żadne, zabijaj. To to samo, co
wyrzelać wściekłych psów, kąsających ludzi...

I stała się rzecz nie oczekiwana. Twarze obu
księży rozgorzały, w oczach pojawił się jakiś
błysk, zacisnęli ręce, aż zatrzeszczało... I lich
wie, gdyby im tak w tej chwili dał ktoś do
ręki taką stalową pomarańczę, dalibóg możeby...

Prelegent ów, nie mógł potem otrząsnąć
się długo z wrażenia, jakie wstrząsnęło całym
jego jestestwem, gdy w Wilnie „Katarzyńców“,
w Wilnie Roppów, setki zgromadzonej pu-
bliczności z iskrzącymi oczami, z twarzami jak
słońca, grzmiały mu na pożegnanie burzą
okrzyków:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje Litwa!

— Niech żyje Białoruś!

— Niech żyje wolna republika demokra-
tyczna!

— Niech żyje sprawa robotnicza!

— Niech żyje sprawiedliwość, wolność,
samodzielność!

A żandarm tylko przechodził i odsuwał,
aby kto nie wpadł pod koła ruszającego po-
ciągu.

I zdało się odjeżdżającemu, że w ciągu
niespełna trzech miesięcy przeżył wtórą mło-

dość, z owymi burzami majowymi przyrody i serca, z owymi zapachami kwiatów, kochaniem, dążeniem, nietroskliwością o jutro osobiste wobec wiary w bliską wolność, wobec tej szerokiej tolerancji, wobec hudzącego się braterstwa ludów, wobec łączenia się ich do wspólnej walki, wobec tego, że to życie stało się znowu tak podniosłe! I wśród grzmotu kół pytał sam siebie: żali walka o wolność nie jest piękniejszą od samej wolności?...

W Równem spotkał Polaków-oficerów, jadących na Daleki Wschód. Byli zupełnie pijani. „Mnie z panem po polsku rozmawiać nie wolno, bo ja ruski oficer“... „Powąchaj pan te kwiaty“... „Powąchałem, śliczny zapach, no a co?“... „Odtąd tylko po polsku mówić pan będziesz, bo te kwiaty w wiązanek zebrała Wolność“... „Tfu, nie chcę“... ale łza zakręciła mu się w oku. „Nie jedź pan na Daleki Wschód, dziś nam tu takich jak pan bardzo potrzeba w Warszawie“. Nie zrozumiał i splunąwszy, jął kląć: „A trzeba, bardzo trzeba i jak było pójdziecie za mną... jak ostatnie było“... „Jak było? Może nawet nie jak było, ale z całą świadomością, tylko zależy od tego, w którą stronę i przeciw komu“. Zrozumiał, popatrzył z podełba i mruknął: „Kažetsa socjalist?“ Wtedy szepnął mu tamten coś w ucho, a on

nagle zupełnie wytrzeźwiał, wytrzeszczył oczy. Ale zabrzmiał dzwonek, zaroilo się i pociąg uniósł go tam, gdzie... obowiązek!

Jakim potworem stał się ten obowiązek? Jakim potworem stało się to, co kluby konserwatywne i dzienniki poznańskie uważają za polskie? za narodowe? Trzeba zaiste w całej pełni zawołać z Nietzschem: *Umwerthung aller Werthe!*"

I to się w Królestwie stało. A stało się do tego stopnia, że ludzie już nie „wypośredkowali“ programów, ale rzucali się sobie w objęcia, że przyszło na dusze człowiecze jakieś kwitnienie róż, że stworzył się tam osobny klimat, tak, iż ludzie zbliżonych doktryn, jeśli np. los ich rzucił do Galicji, nie mogli się już wzajemnie wyczuwać...

Co się stało? Oto robotnicy, młodzież i inteligencja zamiast filozofować o Polsce, zaczęli całkiem prosto... walczyć o Polskę. A w polskość włożyli całe człowieczeństwo. Sprawę polską znowu przeniesiono z wymiaru czwartego do trzeciego...

Ale ci, którzy najwięcej mówili o wspólności celu, nic wspólnego z tem wszystkim nie mieli.

Po dniu 28 stycznia, powszechnej znowie, i po dniu 19 lutego, usankcjonowaniu przez warszawskie społeczeństwo ruchu szkolnego, następuje dnia 24 lutego posiedzenie Klubu Konserwatystów w Krakowie, które ustami prof. Antoniego Górskiego wystąpienia Warszawy uznało „czemś kosmopolitycznem i międzynarodowem“...

Czyżby istotnie wedle tych wszystkich profesorów i hrabiów Polska kończyła się za progiem Klubu Konserwatywnego? A może się za tym progiem dopiero zaczyna?

Wspólność celu?...

A „Dziennik Poznański“, który w Nrze 91 z 20 kwietnia woła, iż wedle dowodów, jakie posiada w ręku, cały prąd rewolucyjny w Królestwie Polskiem posiada główną sprężynę w Berlinie.. A „Kurjer Poznański“, który na Gwiazdkę obdarzył Polaków zaboru pruskiego taką nauką: „Tylko przyklasnąć można temu, że car rosyjski odrzucił projekt konstytucji. Konstytucja nie daje poręki wolności... Do sumienia władcy zawsze można trafić... Dla Polaków katolików lepszy samodzierżca, ale człowiek uczciwy i dobrej woli (?!), aniżeli izba sejmowa, aniżeli parlament“...

Wspólność celu?

Gdy dla profesora Tarnowskiego wszystko,

co się obecnie w Warszawie tak krwawo dzieje, jest „socjalistyczne i masońskie“, olbrzymia armja młodzieży, zamiast „wyczekiwać genialnego człowieka, którego wcale nie widać“ (Z Doby strajków, str. 7), rzuca poprostu nikczemną uczelnię i zdobywa się na zbiorowy czyn, jakiego dzieje świata nie znają i na solidarność imponującą, jakiej nie zna historia żadnego ruchu, bo znowę łamie tylko 8 procent i to z zastępu łódzkiego i sosnowieckiego, co się da wytłomaczyć do pewnego stopnia lokalnymi warunkami? Całe jakieś pokolenie, to wszystko ma być „kosmopolityczne i międzynarodowe“? Tu już nie chodzi o zdanie hrabiego Tarnowskiego, ale o „dobre informacje profesora, który mówi o proklamacjach agentów pruskich w Warszawie a żadnej nie „demonstruje“, jakby po profesorsku należało (Z Doby strajków, str. 11) i który (na str. 10) mniema, że „Bund“ jest w „znacznej części“ złożony... z żydów! Przepraszam, może to gruby koncept, ale to zupełnie tak wygląda, jakgdyby profesor Tarnowski powiedział, że kaczkki składają się przeważnie z ptaków zwanych kaczkami, albo, że Tarnowscy składają się przeważnie z samych Tarnowskich.

To też rewolucjoniści warszawscy rzucają poprostu bomby.

Wspólność celu? Kiedy „Przegląd Wszechpolski“ w numerze styczniowym na stronie 1 wraz z Ligą Narodową „stawia sobie za program dążyć do zdobyczy dla polskości w państwie rosyjskiem“, na str. 7 „nie może dziś traktować zdobycia niepodległości jako celu konkretnego“ i żąda „szerokiej autonomji dla Królestwa Polskiego“, na str. 40 powiada, „że nie można pozostawić Moskałom walki o wolność polityczną tak, żebyśmy sami w tej sprawie nic do powiedzenia nie mieli“, a na str. 2 głosi, „że sprawa reformy ustroju państwowego w Rosji nie wymaga a położenie kraju naszego nie pozwala, żeby organizacja polska zużytkowywała swe siły na walkę bezpośrednią o konstytucję w Rosji“, kiedy na str. 17 biada, „że nie mamy w Królestwie Polskiem trybuny“, a gdy znaleźli się ludzie, co ją sobie stworzyli, to ich na stronie 38 potępił — robotnik warszawski tymczasem rzeczywiście prosto rzucał bomby.

Potępiło się ruch szkolny a potem się go zaanektowało na swój rachunek, jak to doskonale udowodniła cytatami „Krytyka“ krakowska (kwiecień 1905 str. 264 i 265), tak, wspólność celu, 30-go września konferuje się z rewolucjonistami rosyjskimi w Paryżu „przeciw rządowi“, w listopadzie zaś układa się

z p. Tyszkiewiczem memorjał „do rządu“, układa się z warszawskimi postępowcami, że się będzie stawiało opozycji rosyjskiej warunków uznania zupełnej samorządności Królestwa Polskiego z sejmem w Warszawie a potem się haniebnie zdradza i samowolnie uznaje się wobec rosyjskiej opozycji wspólny parlament w Petersburgu... Tak, gdy ci „wszeczpolacy“ tak kłamią, tak łżą, dalibóg warszawski rewolucjonista rzuca poprostu bomby, warszawski, łódzki, kaliski...

Wspólność celu?...

A może była tylko wspólność ideologii?

Czy i tej nie było?

* * *

Rzecz charakterystyczna, że wojna zaskoczyła nas niespodzianie.

Polska była zupełnie martwa. Patrzyła na Daleki Wschód okiem osłupiałem, niepomna słów dawnych patryjotów: „Dnia, którego Rosja zostanie wplątana w wielką a niszczącą wojnę...“

O słowach tych zapomnieli nawet ci, którzy je do dnia 11 lutego 1904 r. starczym głosem powtarzali.

Bo to niby się wierzyło a nie wierzyło.

Chodziło o prawo do wiary w zasadzie. Niepodległość? Tak, tylko niepodległość. Polska? Tak, Polska wskrzeszona, Polska państwo, Polska tabula rasa, Polska instrument w koncercie europejskim, zarazem niewymownie szlachetna i z całym aparatem nowoczesnego państwa, którego kierownicy wierzą tylko w oportunizm i utylitaryzm.

Tymczasem starzy ludzie, umierając, bywali niekiedy przeraźliwie szczerzy.

— Synu mój, jak to ciężko umierać Polakowi, gdy się nie widzi najmniejszego promyka nadziei...

Kto taką spowiedź słyszał, ten drętwiał; bo lękał się, że taką samą spowiedzią zakończy swoje życie.

Ból, dolegliwy ból nie dawał spokojnie rozumować. Ludzie wpadali na najszańsze pomysły.

Oto konferencja w Hadze. Oto radzą a nas niema. Oto radzą o nas a nie dla nas...

— Gdyby tak znalazło się ze 400 dawnego chłopca, poszło przed ów gmach w Hadze, złożyło „żądania“ i na poparcie ich strzeliło sobie na komendę w łeb?...

— Toby ich pochowano — odezwał się kolega-cynik.

— Czterysta trupów...

— Okrągłe czterysta. Gdyby więcej, to i więcej.

— Gdyby się jednak znalazło...

Tak, gdyby się znalazło. Ależ to tak jak w „Weselu“, tylko pomysł do powieści, nawet niesmacznej jak na dzisiejsze uczucia...

Nocą szedł przez ulicę Marszałkowską pewien politechnik. Zastąpiło mu drogę trzech studentów Rosjan.

— Wy mierzawcy, cóż to, nie ruszacie się, kiedy burzą się wszystkie uniwersytety? Czy wam tak dobrze pod carem?...

Bo to wtedy Narodowa Demokracja krzyknęła właśnie, że „wszelki ruch będzie zbrodnią!“

Tak, gdy było cicho, ona apostołowała ruch, a gdy nastał ruch, ona bardzo hałaśliwie apostołowała ciszę...

Cóż to była Narodowa Demokracja?

Byli Ludowcy, była Oświata Ludowa, był Patriotyzm, byli ludzie Dobrej Woli.

Nagle przyszła komuś do głowy całkiem piękna myśl założenia organu, któryby się zajmował sprawami tyczącymi Polaków wszystkich trzech zaborów.

Myśl piękna, bezwarunkowo piękna. Ale co z niej zrobiono?

Do redakcji wtargnęli ludzie, jakich miał wtedy cały użębiony świat. Wtargnęli oportuniści ideowi.

Bismarck wierzył w brutalną siłę — dalejże i my wierzymy w brutalną siłę. Niemcy mają „Alldeutsch“, to i my miejmy „Wszechpolskość“. Francuzi nie mogą po ostatnim pogromie skierować sił swoich przeciw zewnętrznym wrogom, więc kierują je przeciw wewnętrznym, sztucznym wrogom — i my tak postępujemy.

Oportunizm ideowy! Zagarniać, wszystko zagarniać, bez wyboru zagarniać, Ludowców, Oświatę, zmonopolizować Patryjotyzm! Pan jesteś narodowiec? Tak. I pan jesteś demokrata? Tak. No, to pan jesteś Narodowy-Demokrata...

W ten sposób odbywała się agitacja i werbowanie członków nowego stronnictwa.

A kto kierował? Przeważnie ludzie, którzy próbowali sił w kilku obozach, którzy starzejąc się myślowo, tracili wiarę w ideał a zyskiwali wiarę w... praktyczność.

Politycy podstępny, intryżki, demagogowie.
Człowiek-gąbka.

Dalej: Człowiek-szyjka, który z ukrycia zawsze jakąś główką kręcił.

I Motylek Stronnictw, który był ludowcem i antysemitą, potem u p. Lewentala w „Kurjerze Warszawskim“, potem u p. Zonera w Łodzi, potem w „Przeglądzie Wszechpolskim“, który będąc demokratycznym, występował przeciwko powszechnemu głosowaniu i w grudniu 1904 r. drwił z poglądów „liberalno-demokratyczno-humanitarno-postępowych“, odrzuconych przez „inne stronnictwa w stopniowym ich rozwoju“. Trudno być bardziej szczerym...

Wszechpolacy, którzy każdego nazywali półpolakiem, którzy wszystkim zarzucali, że kokietują rząd, byli rzeczywiście ostatnimi, co memorjałami... kokietowali tenże rząd.

Bo delegacja, jadąca na wiosnę br. do ministrów w kwestji szkolnej, składała się z samych Narodowych Demokratów.

Panowie ci jednak mogli tak długo hałasować, dopóki się nie rozpoczął ruch na prawdę. Wtedy nagle przymilkli, stracili wpływ, znaczenie.

Bo byłoby to kłamstwem, gdyby kto chciał z lwowskimi Wszechpolakami równać wszystkich Narodowych Demokratów Królestwa Polskiego.

Oni zostali tylko zaanektowani. A gdy ruch się rozpoczął na wielką skalę, najtęższe charaktery i najlepsze serca opuściły szeregi nowych Tramtadratów.

Przecież nawet dzieciaki śpiewały w Warszawie w ciągu stycznia:

„Tramta-dra... Tramta-dra.

„Narodowa Demokra...“

Głowy Narodowej Demokracji coraz bardziej zerkwały na prawo. Aż wreszcie całkiem zbliżyły się do... ugody.

To się wyjaśni. A tymczasem — co to była owa warszawska ugoda?

Ona składała się z ludzi, którzy chcieli coś zrobić „dla tego nieszczęśliwego kraju“ i z ludzi, którzy chcieli coś zrobić „dla tej nieszczęśliwej własnej kieszeni“.

Pierwsi składali się z ludzi zacnych, którzy marzyli o „prawach“ dla Polaków. Zapomnieli tylko o słowach Puszkina, który pisał: „W Rosji niema z a k o n a, tylko jest słup a na słupie zatknięta korona.“

Nie mogli oni żadną miarą zrozumieć, że Rosja, nie będąc „państwem prawnym“, wyjątku dla Polaków robić nie może.

Że z cesarzem rosyjskim umowy niema. On może kontrahenta powiesić a kontrahent może być tylko... powieszonym.

Jedyną formą umowy z despotą jest konstytucja. Ale ugodowcy konstytucji nie chcieli.

To jest chcieli... tylko nie chcieli walczyć o nią.

Któż nie chciałby konstytucji!

Ugodowcy nie znali Polski. Bo gdyby byli znali, czyż zechcieliby się kompromitować zarzekaniem, że Polska w czasie wojny zachowa się „poprawnie“?

A oni się zarzekali i skompromitowali.

I byli jeszcze ugodowcy, którzy, gdy Mickiewicz „cierpiał za miliony“, to oni „uczuli strach za miliony.“

Polacy dziś biorą po 25 nahajek dziennie. Gdyby tę cyfrę zredukować do 20 nahajek dziennie? Z czasem do 15 dziennie... A gdzieś, kiedyś, w niezmiernie szczęśliwych, oddalonych czasach... niedościgłe prawie marzenie... do pięciu nahajek dziennie!...

To byli jedni.

A drudzy? Dla nich ugoda była interesem. Oni wyrabiali sobie u rządu koncesje, oni byli dostawcami rządu, odbiorcami orderów i tytułów, pośredniczyli w rozdawnictwie łapówek, które nie zawsze dochodziły, bo dochodzić nie mogły.

Jakto? Sam cesarz pozwala na pomnik Mickiewicza? Komu tu dać łapówkę i poco?

A jednak dano.

Rząd liczył się z ugodowcami... z grzeczności. A gdy mu wypadało być niegrzecznym, to ministrowie, rozmawiając z hrabiami, kładli nogi na fotelach, bili pięścią w stół...

Wręczony rządowi w październiku memorjał „23“ rozgniewał Polaków, rozgniewał opozycję rosyjską i rozgniewał biurokrację.

To była najfałszywsza polityka.

Przekonywać rząd, że się jest lojalnym? Czy rząd w to kiedykolwiek uwierzy? Następnie czy rząd chce, aby Polacy byli lojalni? Że się powołamy na „List Polaka“: czy Krzyżacy chcieli, żeby się Litwa ochrzcila?

Oni chcieli ją chrzcić przez wieki...

A następnie: twardo stać przy tronie!

Przecież jest to jedyny przywilej biurokracji. Więc ugoda robi konkurencję biurokracji...

Pewien urzędnik ministerjum spraw wewnętrznych tak się wyraził o memorjale „23“ i o jego stosunku do memorjału p. Tyszkiewicza:

— Memorjał p. Tyszkiewicza może być czytany po polsku i po rosyjsku, ale memorjał p. Spasowicza może być czytany już tylko po rosyjsku.

A kurator Szwarc tak się o tym memorjale „23“ wyraził:

— Co za jezuityzm! I oni myślą, że my im wierzymy?...

Ma zupełną słuszność. Bo w gruncie rzeczy każdy warszawski ugodowiec marzy o niepodległej Polsce, może nawet od morza do morza...

— On tylko chciał coś zrobić „dla tego nieszczęśliwego kraju“, albo dla swojej „nieszczęśliwej kieszeni“...

Dzień 28 stycznia był dniem ogłoszenia upadłości warszawskiej ugody.

* * *

Z chwilą wybuchu wojny panował w Polsce niepodzielnie Rzeczywisty Tajny Polak.

Gdy ktoś mu bąknął o konstytucji, zawołał on: „Wara! Nam teraz tylko stać na stanowisku niepodległościowem!“

Tak. Stać. Nie ruszać się, chyba w ideologii. Toteż Warszawa stała.

Patrjotyzmem było stać. Niepodległością było stać. I takie „stanie“ nazywało się: nieuznawaniem państwowości rosyjskiej.

Mówiono: „Będziemy opozycyjnie siedzieli w domu“.

I siedzieli w domu.

Ktoby „palcem kiwnął“ o konstytucję dla Rosji, a autonomię dla Polski, ten, jak się powien doktor wyraził, czyniłby z Polski... samarską gubernję.

Doktor ten nie chciał żadną miarą uwierzyć w to, że Polska była już faktycznie... samarską gubernją i że właśnie o to chodziło, aby przestała nią być.

Doktor ten zapomniał, nie widział, nie czuł, że sam, rzekomo nie uznając „państwowości rosyjskiej“, pisuje świadectwa lekarskie po rosyjsku, zajmuje posadę lekarza rządowego, z paszportów rządowych korzysta, z sądów państwowych, że na śledztwach wypiera się przynależności do jakiegokolwiek ruchu i, że... tylko potajemnie wyznaje pewną doktrynę polityczną o nieprzynależności do państwowości rosyjskiej... ale praktycznie nie dla tej sprawy nie robi.

Czego jednak nie zrozumiał w maju, to przynajmniej zrozumiał w grudniu, przystępując do obozu postępowych demokratów, którzy idąc za deklaracją Komitetu Wieców Polskich, stawili program politycznej autonomji Królestwa Polskiego.

Pewna grupa warszawskich postępowców, śledząc wypadki doszła do następujących konkluzyj.

Rozgorzała wojna na Dalekim Wschodzie. Fakt ten musi przyspieszyć rewolucję w Rosji. W chwili tej tak ważnej Polacy nie posiadają politycznego programu, tylko idee kierownicze.

Ideami temi są: z jednej strony ustroj socjalistyczny, z drugiej strony niepodległość.

Jeżeli Europa odległą jest od ustroju socjalistycznego, to tem bardziej jest od tego ustroju odległą Polska i Rosja.

A niepodległość?

Poznańskie w chwili obecnej o niepodległości nie myśli, Galicja o niepodległości nie myśli, Śląsk o niepodległości nie myśli, Litwa o niepodległości nie myśli, nawet Daszyński z galicyjskimi socjalistami robi politykę dnia austriackiego — a co tam w duszy myśli? To inna sprawa.

Zresztą galicyjski socjalizm ma twarz Janusową. Na policzku zwróconym w stronę Królestwa Polskiego jest wypisane: niepodległość; a na policzku zwróconym do Europy jest wypisane: niech żyje Międzynarodówka! (Patrz „Naprzód“ z dnia 25 kwietnia b. r.)

Daszyński daje się wybierać do parlamentu wiedeńskiego, Daszyński występował

nawet przeciwko wyodrębnieniu Galicji. Przecież piąta kurja nie posiada przedstawicielstwa w Sejmie lwowskim!

Więc my, Polacy z Królestwa Polskiego, nie możemy przepisywać Polakom wszystkich trzech zaborów, co mają w tej chwili robić. Nie możemy za nich decydować. Możemy tylko decydować za siebie. Ale niech i nam nikt nie przepisuje.

Grupa ludzi tak myślących wydawała we Lwowie pismo p. t. „Kuźnica“ i w Nrze 2 niby „balon próbny“ umieściła artykuł „Konstytucja w Rosji i Polacy“. Artykuł ten został napisany w lutym, ale ukazał się dopiero w numerze kwietniowym, co dowodzi, że już słowo drukowane zaczynało być żółwiem, nie mogącym podążyć za biegiem wypadków.

Następnie grupa tych ludzi czując, że niepodobna wymówić wojny Austrii, Prusom i Rosji, bo byłoby to wypowiedzeniem wojny Europie, ba, całemu światu, że zatem niepodobna w tej chwili walczyć o złączenie wszystkich Polaków i ich niepodległość, zapragnęła utworzyć Koło Autonomistów.

Dążmy etapami. Konstytucja w Rosji, to tylko gwarancja jakiejś specjalnej konstytucji warszawskiej, gwarancja jej nietykalności. Konstytucja w Rosji jest tedy nam potrzebna. Wy-

jaśniano tę kwestję w całym szeregu numerów następnych „Kuźnicy“. Wywalczmy sobie autonomję Królestwa Polskiego, sejm w Warszawie, służbę wojskową w kraju, spolszczmy Królestwo Polskie, pożyczmy jakieś 15 lat w ten sposób a może dźwigniemy się, zorganizujemy, no — i zobaczymy, co dalej...

Więc o jaki stosunek do Rosji walczymy? Dziś jesteśmy od niej zupełnie zależni. Walczmy o stosunek nie zależnościowy, ale federalistyczny.

Walczmy o niepodległość — minus polityka zewnętrzna.

Pierwszym krokiem, który owa grupa uczyniła, była chęć namówienia istniejących partji do utworzenia podobnego Koła.

Ale Polska Partja Socjalistyczna nie chciała zejść ze swego stanowiska niepodległościowego. Nie chciała, czy nie mogła?

W każdym razie jest to faktem, że poważna część jej członków zaczęła na ten temat dysputować. Rozumiano doskonale różnicę pomiędzy ideą kierowniczą a czysto politycznym programem.

Kuźnica robiła swoje. Kuła program polityczny, program całkiem praktyczny, program Doby Obecnej.

Kiedy pertraktacje z partjami nie osią-

gnęły żadnego rezultatu, wtedy grupa, o której mowa, zwróciła się do wybitnych jednostek warszawskich.

Ale i tu nastąpił zawód.

Nawymyślano tylko ludziom...

Nawymyślano im, że nie są patriotami, że chcą z Polski zrobić... samarską gubernję, że cała ta robota trąci dziegiem...

Rozpacz ogarniała. Wszyscy spali. Jedna tylko Partja Socjalistyczna krzątała się, krzątała rozpaczliwie. Cztery tysiące bohaterów, dwadzieścia tysięcy bohaterskich sympatyków, ofiary, bezpłodne przykłady, syzyfowe wysiłki... a ogół? Ogół siedział „opozycyjnie w domu“.

Wtedy grupa owych ludzi, których tylko rzeczywiście można było nazwać Ludźmi Dobrej Woli, zaapelowała do ogółu inteligencji, do tego śpiącego ogółu i dnia 10-go grudnia urządziła pierwszy wiec polityczny w Warszawie.

Stawiła polityczny program, program autonomiczny, złożony z sześciu punktów, których dwa pierwsze brzmiały:

1) Żądamy, aby Konstytucja państwa rosyjskiego została oparta na stosunku federacyjnym pomiędzy Rosją właściwą a krajami kresowymi (Polską, Litwą, Finlandją etc.)

2) W tej federacji Naród Polski (recte Królestwo Polskie, niekoniecznie w granicach obecnych) utworzy odrębną całość, której ustroj zostanie ustanowiony i przyjęty przez samo społeczeństwo w osobie swych przedstawicieli, wybranych do sejmu w Warszawie za pomocą głosowania powszechnego, bezpośredniego, tajnego.

I odrazu zawrzało.

Ludzie poczuli się zbiegać na te wiece. Ludzie milczeli przez lat czterdzieści, najważniejsze sprawy nie podlegały żadnej dyskusji. Wiece otworzyły dyskusję na temat najżywniejszy, na temat — odbudowania publicznego życia.

Stworzono zarazem nową metodę postępowania.

Ponieważ nie stanowimy żadnej partji, ponieważ żadnej z istniejących partji nie chcemy w robocie przeszkadzać, bo partje to już gotowe pułki do boju o wolność, ponieważ idziemy tylko do niezorganizowanego ogółu, przeto dla nas nie istnieje konspiracja, obieramy drogę — jawności. Jawność ta istnieje nie dla policji, ale dla społeczeństwa. Rewolucji anonim nie robi. Ogół za anonimem nie pójdzie.

Tedy na każdym wiecu podawało się

adres Komitetu Wieców Polskich. Założyło się kancelarję Wieców Polskich.

Na tych wiecach ustaliło się zasady walki z rządem. Powstania nie będziemy robili, powstania jako pewnej formy walki; będziemy robili rewolucję. Wobec istniejącego militarizmu, wobec rozgałęzionej policji i żandarmerji, wobec całej armji szpiegów — dwa istnieją dla nas środki: powszechny bojkot rządu i — bomba.

Niech staną fabryki, niech staną biura, niech staną koleje, telegrafy, telefony, sądy, wszystkie instytucje, niech żadne dziecko nie pójdzie do szkoły, niech stanie cała rządowa oświata... Rząd organizuje życie. Niech z woli narodu stanie życie bodaj na chwilę a zobaczymy, czy rząd będzie mógł rządzić takim narodem.

A ten bojkot niech popiera — bomba.

Zszeregowani w zastępy powstańcze w tej chwili walczyć nie możemy. A przecież i na wojnie dzisiejszej żołnierz chowa się za transe, walczy z ukrycia. Stara się ustrzelić a nie być ustrzelonym. Zamachy, nieustający terror, doprowadzenie rządu do zupełnej anarchji a nas, gdy w tak krótkim czasie organizacja jest utrudniona, nas, w nas, wyrobić to czucie

powszechne, które nieraz zastępuje najprzemysłniejsze organizacje.

Wiece stały się odrazu głośne w całej Warszawie. Do kancelarji napływały dziennie tłumy. Wiec zapowiadano rano a odbywał się już wieczorem.

Ta jawność zupełnie zmyliła policję.

I odrazu pokazało się, jaka partja jest najzacniejsza. Pierwsza Polska Partja Socjalistyczna poznała się na użyteczności tej roboty i zaofiarowała swoją pomoc.

Cześć tym ludziom!

Publiczność dobijała się o bilety na wiece, czasem poprostu szturmowała sale, w których się owe wiece odbywały. Najmniej liczny wiec liczył 50 uczestników, najliczniejszy, odbyty w noc sylwestrową 1904 roku 550 wiecowników.

Była to jak na warszawskie stosunki liczba imponująca.

Pod wpływem wieców powstała Partja Postępowych Demokratów, która, działając hardzo solidnie, przystała natychmiast do Komitetu swego delegata a na zebrania swoje poprosiła delegata Komitetu.

Tak przez część grudnia i styczeń szli ze sobą ręką w rękę Wiecownicy, postępowi demokraci i „papuasi“.

A już czuć było w powietrzu burzę polityczną. Już padały słowa wielkie, słowa rewolucyjne. Wspaniale na wiecach przemawiali chłopci, wspaniale robotnicy. Zbliżyły się do siebie, poznały się i... pokochały wszystkie żywioły zdolne do rewolucji.

Powstał jakiś — Punkt Zborny.

Wiece były nietylko kuźnicą myśli politycznej, nietylko „platformą“, na której różni ludzie zejść się mogli, ale Żywym Dziennikiem, trybuną wolnego słowa, miejscem porozumienia się i wzajemnego zrozumienia.

Tam mówiło się do wszystkich. Literalnie — do wszystkich.

A chodziło — o wszystkich.

Wiece — to było jakieś uderzenie pięścią w stół, aby się odezwały wszystkie nożyce, które nie wiedziały o wzajemnym istnieniu.

Dzięki wiecom wypłynęły na wierzch z ukrycia najpiękniejsze i najdzielniejsze charaktery. Ludzie odszukali się, odnaleźli.

Najciekawsze rzeczy działy się właściwie po wiecach, kiedy nazajutrz do kancelarji napływały te jednostki, z których każda albo dawała informację, albo jej żądała, albo domagała się pracy, albo ofiarowała się sama z pewną doskonale przez siebie pomyślaną pracą.

Wtedy dopiero pokazało się, ile to dzielnych, rozumnych, pełnych poświęcenia ludzi kryło się w tym olbrzymim ogóle, w tej nie-nazwanej ludzkiej masie, w tym... tłumie, który tak niesłusznie lekceważono!

Wtedy dopiero pokazało się, jak tam w głębinach wyrosła całkiem nowa Polska, Polska śmiała, zdecydowana na wszystko, Polska, która nietylko spełnia wolę testamentową nieboszczyków, ale posiada własny program życia prywatnego i publicznego, własne idee, własne dążenia.

To nie były „kongresy nieboszczyków“, to nie były hasła do błagalnych memorjałów, na tych wiecach wołano: brać mamy wolność, brać a nie skomleć o nią...

Ileż to kwestji trzeba było tam poruszyć, ile kwestji poruszyło się istotnie! Sprawy robotnicze, sprawy żydowskie, sprawy udziału kobiet w życiu publicznem, kwestja ich praw, ich obywatelskości, kwestja szkół, uniwersytetów, kwestja stosunku do walczącej o wolność Rosji...

Wytworzył się jakiś klimat. Prawda, ludzie skakali sobie do oczu, ale potem rzucali się sobie w objęcia...

Czyż człowiek, który ma na szalę zdarzeń miotnąć swój byt, swoje życie, nie musi się

wygadać, wyplakać, czy nie musi się rozejrzeć, kto z nim a kto nie z nim, czy nie musi przeistoczyć całej swojej psychologii, czy nie musi otrząsnąć się z wszelkich doktrynek, czy nie musi rozniecić w sobie wielkich ideałów, szerokiej tolerancji, czy nie musi obrachować się ze swoim sumieniem?...

A kiedy z trybuny padały słowa płomienne, zawsze tam gdzieś w kącie stał jakiś człowiek... Patrzył, twarz jego przybierała wyraz decyzji i widać było z jego oczu, że odpowiadał mówcy: „Zostanę czynem twoich myśli...”

Tak, bo wtedy słowo stało się — twórczem...

— Zmowa powszechna przeciwko rządowi! — grzmiało na wiecach...

— Iluzja... szeptali niedowiarkowie.

W trzy tygodnie później zmowa powszechna była faktem dokonany.

— Niech żadne dziecko nie idzie do tej nikczemnej szkoły...

— Marzenia utopistów... szeptali ludzie rzekomo trzeźwi.

W dwa tygodnie później powszechna zmowa szkolna w całym Królestwie Polskiem była faktem dokonany.

Już w połowie stycznia istniały w War-

szawie tylko dwie grupy programów, jedna grupa pertraktujących z rządem, druga rewolucyjnych przeciw rządowi, pierwsza tedy ugodowców, druga rewolucjonistów...

Do grupy ugodowej należeli ludzie programu „23“, i ludzie programu p. Tyszkiewicza łącznie z wodzami narodowej demokracji; do grupy rewolucyjnej Polska Partja Socjalistyczna, Postępowi Demokraci i Wiecownicy.

Pod koniec stycznia pierwsza grupa zaczęła zupełnie tracić wpływ a grupa druga jednoczyła się przez współdziałanie, aż nastąpił wybuch dnia 28 stycznia, w którym Zmowa Powszechna robotników, młodzieży i rewolucyjnej inteligencji stała się rzeczywistością, wycisnęła piętno na życiu, nadała fizjonomję Królestwu Polskiemu.

Stały się rzeczywiste wszystkie fabryki, tramwaje, dorożki, część biur, młodzież porzuciła szkoły, pensje, uniwersytet, politechnikę, wszystkie, jakie były, zakłady naukowe; zamknięto sklepy, kawiarnie, cukiernie, zbuntowali się powstańcy uliczni, nawet stróże kamienic; z placówek uszła przerażona policja, wystąpiło wojsko, wieczorem rozległy się strzały, brzęk tłuczonego szkła latarń i wreszcie Warszawa pogrążyła się w milczeniu i ciemności.

Ach, to milczenie i te ciemności ulic wielkiej stolicy...

* * *

Zorganizowanie powszechnej zmywy robotniczej było dziełem Polskiej Partji Socjalistycznej.

Pertraktowano z „Bundem“ a przez „Bund“ z „Socjalną Demokracją.“ Aby przekonać te stronnictwa, rozdzielono nawet odezwę na dwie proklamacje, ekonomiczną i polityczną, co było błędem, bo jedna dochodząc do rąk jednych, druga do drugich, wywołała pewne nieporozumienie. Ale intencja była dobra.

„Bund“ chciał zmywy dopiero po... wypłacie, „Socjalna Demokracja“ coś za dwa tygodnie; ale „najlepsze chęci“ tych panów rozbiły się o... żywioł rozhukanej psychologii mas, które nie oglądając się na żadne „wypłaty“, na żadne „dwa tygodnie“, ruszyły jak fala, jak wezbrana rzeka...

Ruch wogóle rozlał się poza ramy wszelkiej partji, poza brzegi jakiegokolwiek organizacji, poza wpływy choćby genialnych jednostek.

Jedna idea, ogarniająca masy, idea „precz z rządem a rząd własny“ — oto, co kierowało tłumami — i o to tylko chodziło.

Natychmiast zaczęły działać komitety strajkowe, z których pierwszy powstał także na Wiecach. Wzięły w nich udział osobistości, które przed pół rokiem przysięgałyby, że czegoś podobnego nigdy nie popełnią...

A jednak popełniły. Psychologja ludzi zaczęła się gwałtownie zmieniać.

Bo też i działy się rzeczy nadzwyczajne.

* * *

Na ulicy Nowy Świat tłumy. Przeciąga wojsko. O ścianę domu stoi oparty jakiś wynędzniały robotnik.

— Chodź pan na obiad — proponuje mu pewien inteligent.

Poszli.

Stół nakryty. Podają zupę. Robociarz pojadł trochę, odkłada łyżkę i patrzy pośępnie przed siebie.

— Cóż to, już pan nie je?

— Odzwyczaiłem się od jedzenia... nie mogę...

— To, żeby pan się znowu przyzwyczaił, służę panu pięcioma rublami.

Robotnikowi zadrgały oczy błyskiem stalowym.

Milczał chwilę a potem zaczął mówić z pewną goryczą:

— I poco te pięć rubli? I poco to przyzwyczajanie się znowu i znowu odzwyczajanie... Poco to złoto...

Tu zniżył głos i rzekł przez zęby...

— Daj mi pan bombę a nie piątkę...

* * *

Przy zbiegu ulicy Berga i Krakowskiego Przedmieścia padła salwa. Zakotłowało się. Na chodnik asfaltowy runął robotnik a z ust buchnęła mu krew, z piersi krew...

Dokoła zebrała się grupa ludzi.

Wtem przystąpił jakiś „pan“ w długim paltocie futrzanym. Ukląkł przed zwłokami, zdjął czapkę, umaczał rękę w krwi i mówił:

— Przypatrzcie się, to krew robotnika, święta krew, która przelana została za wolność Warszawy...

Publiczność odstłoniła głowy i stanęła zwartem kołem.

— Niechaj ta krew zostanie pomszczona, niechaj ta krew nie będzie przelana nadaremno...

— Co robić? co robić? co robić? — dały się słyszeć westchnienia.

Wtedy ów „pan“ wstał, rozpiął futrzany paltot, rozchylił — a miał tam poprzipinanych piętnaście rewolwerów.

— Masz — rzekł, podając jednemu. —
Masz — drugiemu. — Masz — trzeciemu...

* * *

A klub hrabiów i profesorów powiada, że to wszystko było „kosmopolityczne i międzynarodowe“... A Liga narodowa z „Przełłdem Wszepolskim“, doznając uczucił wielkiej „niewłaściwości“, pyta: „Kto to walczył i o co?“...

Mdłe twoje serce... „nie obaczysz cudu“...

* * *

Młódzież uniwersytecka miała w sobotę dnia 28 stycznia urządźć wielki powszechny wiec. Na wiec ten miała się stawić „Bratnia Pomoc“ i „Spójnia“.

Tymczasem „Bratnia Pomoc“ zdradziła. Pod pozorem, że została wprowadzona w zasadzkę, że dzień wiecu był rocznicą powieszenia członków starego proletariatu, oświadczyła w chwili ostatniej, że na wiec nie przybędzie.

A ponieważ w całym mieście było wiadome, że w sobotę przed południem będzie wicowała politechnika i uniwersytet, przeto

każdego napotkanego na ulicy Bratniaka robotnicy odprowadzali słowem: „świnia... świnia...”

Spójnia jednak zebrała się w komplecie. Było ich czterystu.

Najpierw udali się do sali profesorów. Bardzo uprzejmie oświadczyli im, że zamykają rosyjski uniwersytet w Warszawie; niechaj tedy profesorowie rozejdą się do domów a wykładów nie rozpoczynają. Profesorowie przyjęli to dość naturalnie, pożegnali się, poszli.

Następnie Spójniacy udali się do sali inspekcji. Tu trzeba było działać bardziej stanowczo. Inspekcja prosiła się tylko na chwilkę do... telefonu. Wiedziano doskonale, co to ma znaczyć. Więc aparaty zniszczono.

Wtedy inspekcja stała się ogromnie pokorną. Inspekcja — to uniwersytecka policja.

W ukłonach, dygach ustawicznych zabrała się i poszła.

Potem pożegnano pedelów.

A wreszcie udano się do gabinetu rektora Ziłowa, znieprawionego człowieka, ohydneho biurokraty, herszta żandarmskiego, którego nauka nic nie obchodziła, ale szpiegostwo, ale sprawy policyjne...

Tu rzeczywiście młodzież nie bawiła się

już w żadną delikatność. Gabinet zrujnowano, portret cara zniszczono.

I dopiero na gruzach pięknej „naukowej“ instytucji odbyto wiec.

Narady szły żwawo, zgodnie, bo zgromadzili się właściwie ludzie jednej myśli.

Tymczasem gmach otoczyło wojsko. Oficerowie próbowali wejść do sali wiecovej. Wyrzucono ich.

Okolo północy zjawił się oberpolicmajster Nolken i wszedł z młodzieżą w układy. Jeżeli wiecownicy rozejdą się natychmiast, nie będzie wszczywał sprawy, niech uniwersytet sam z nimi się załatwia; jeżeli zaś wiecownicy zechcą pobyt swój w gmachu uniwersyteckim przedłużyć, to zaaresztuje wszystkich i przewiezie do cytadeli.

Ponieważ wiecownicy narady już ukończyli, przeto pierwsza propozycja była dla nich całkiem dogodną. Rozeszli się. Nolken słowa dotrzymał.

Równocześnie odbywał się wiec w politechnice. Tam do rozdziału nie doszło. Wiec trwał ośmnaście godzin. Profesorów nie zaczepiano, ani inspekcji, to też i wojsko tam się nie zjawiło. Program „wypośrodkowano“.

Dopiero po wiecu część młodzieży Narodowo Demokratycznej wydała odezwę separatystyczną...

To też dzieci warszawskie w dalszym ciągu śpiewały:

„Tramta-dra... tramta-dra...
Narodowa Demokra...”

* * *

Młodzież szkół średnich nie była zdecydowana, jak długo ma trwać zmowa. W pierwszej chwili chciano świętować tak długo, jak robotnicy.

Ale to byłoby niekonsekwencją.

Więc tłumaczono im, że robotnik tylko dlatego wraca do pracy, bo musi żyć, bo musi jeść. A uczniowi mamusia obiad da i śniadanie da...

Więc niech ten uczeń to zrobi, czego nie może zrobić biedny robotnik, niech przetrzyma, niech wogóle nie wraca do szkoły, dopóki ta szkoła nie będzie całkiem inną.

— Świętować aż do skutku — zabrzmiało hasło.

Wtedy ruszyli się rodzice, ruszyli się opiekunowie, ruszyli się Narodowi Demokraci, ruszyło się Koło Wychowawców, Związek

Unarodowienia Szkół. Odbywały się wiece rodzicielskie i wiece młodzieży.

Posiedzenia młodzieży zdumiewały swoją karnością. Wywody mowców sięgały kwestji zasadniczych. Motywowano rozumnie i pięknie. Chodziło nietylko o szkołę polską, ale o szkołę, szanującą człowieczeństwo.

Niejeden uczeń przemówieniem swoim wycisnął łzę słuchaczom.

Młodzież w szkole rosyjskiej cierpiała, zdawała sobie sprawę z każdej krzywdy, która się jej działa. Czuła, że w tej szkole paczy się jej skarb jedyny, największy, paczy się — charakter.

A pan Dmowski w „Przeglądzie Wszepolskim“ (marzec-kwiecień 1905, str. 179) pisał: „Fałszywa to taktyka, która dla podtrzymania akcji szkolnej z każdego ucznia robi świadomego szermierza sprawy narodowej, przypisując mu uczucia, pobudki i plan postępowania, na jakie, gdyby się zdobył, nie byłby młodym chłopcem, ale jakimś przedwcześnie dojrzałym dziwolągiem...”

— Mamo, jak ci starsi okropnie kłamią — zawołała z rozpaczą pewna ośmioletnia dziewczynka.

Wszyscy prawie bez wyjątku namawiali młodzież, żeby wróciła do szkoły, że akcję

powinni podjąć rodzice. Tak, powinni, ale nie podejmowali...

Młodzież wiedziała doskonale, że jeśli ona sama się nie uprze do ostateczności, to z szkoły polskiej będzie — figa.

Haniebnie zachowywały się pensje żeńskie. Biedne dziewczyny chciały solidaryzować się z młodzieżą. Przełożone tłumaczyły im, że pensje są ostoją polskości.

— To są „kryjówki“ polskości — wołały dziewczyny.

— Nie chcemy być rzeczywistemi, tajnymi Polkami.

— Pójdziemy na pensje, ale pod warunkiem, że gdy przyjdzie inspektor, wszystko będzie się dalej odbywało po polsku.

Przełożone nie przebierały w środkach. Ponieważ na pensje przychodziła młodzież szkół męskich celem zrywania wykładów, przeto pensji strzegła policja i... Bratniacy.

Szulakiewiczówna z Lublina, którą ojciec zmusił pójść do szkoły, odebrała sobie życie.

A pan Dmowski pisał w „Przeglądzie Wszechpolskim“ (marzec-kwiecień 1905, str. 183): „Szkoła rosyjska w Polsce już osiągnęła to, że rodzina nasza upodobniła się w pewnej mierze do rosyjskiej, że synowie u nas często uważają za naturalne i konieczne przeciwsta-

wiać się ojcom i ostatni nie zawsze mogą być pewni, że znajdą u własnych dzieci posłuszeństwo“. „Dzięki pedagogom rosyjskim synowie nie mają u nas zupełnego zaufania do ojców, odnoszą się do ich wskazówek lekceważąco, czasami drwią sobie z nich bez ceremonji.“

Przełożone wydalały uczennice za agitację polityczną, albo pozwalały im zostać na pensji pod warunkiem, że wydadzą... współwinne.

Jedna z przełożonych chciała uczennice zwabić na pensję pod pozorem wykładów prywatnych. Między starą „czterdziestoletnią“ Polką a młodą „czternastoletnią“ Polką miała wtedy miejsce rozmowa następująca:

— Moje dziecko, dlaczego nie chcesz chodzić na pensję?

— Bo chcę razem z gimnazjami walczyć o szkołę Polską w Polsce.

— To bardzo pięknie. Ale widzisz, trzeba postępować politycznie. Skoro młodź męska wywalczy polską szkołę, my natychmiast także zaprowadzimy ją u siebie. Niech tamci walczą, a my czekajmy rozumnie. Patrz, wszak i Japończycy pędzili najpierw na Moskali bydło, aby wpadło na fugasy, a potem, gdy już droga była bezpieczna, szli sami.

— Więc nasza młodzież męska ma pro-
szę pani, być tem bydłem?

— Kiedy ty zaraz wszystko bierzesz do-
słownie...

— Więc my, dziewczyny polskie, mamy
korzystać z tego, co wywalczą nasi bracia?
I będziemy siedziały z założonemi rękami?

— Czemu z założonemi rękami?

— Więc niech mi pani wymieni to słowo,
które byłoby wyrazem naszego solidaryzowa-
nia się z akcją braci naszych?

— Skończmy! Dość tego! Wracasz na
pensję, czy nie wracasz?

— Na polskie prywatne wykłady będę
chodziła a na rosyjską pensję... nie będę
chodziła.

Przełożona spurpurowiała a pan Dmowski
pisał: „Było to zjawisko niezdrowe“ (str. 184).
„Pedagog rosyjski zbliżył młodzież polską pod
względem moralnym do typu rosyjskiego, ni-
hilistycznego“ (str. 183).

Chłopak miał kończyć gimnazjum z me-
dałem a tu zrywają wykłady. Zrozpaczona
matka przybiegła do gimnazjum i zaczęła
chłopaków okładać parasolką...

Na wszystkich wiecach tłumaczono młodzieży, że koniecznie powinna wrócić do szkoły. Największe powagi opowiadały się za tem. „A było to w roku padających pni“, pisze jakaś chińska kronika. „A było to w roku padających powag warszawskich“ możnaby tekst ten przystosować do owych dni u nas.

Dusząca atmosfera naprężonych stosunków pomiędzy rodzicami i dziećmi trwała przez okrągłe trzy tygodnie.

I nagle stał się... cud.

Przyjechał do Warszawy człowiek, którego poprostu zesłał los.

W czwartek dnia 15-go lutego zjawił się w Kancelarji Wieców Polskich obywatel, sędzia — człowiek.

Wąsy zawiesziste. Twarz poważna, oko jakby zażawione, na czole troska, ale i myśl. A taki trochę „starożytny“, „szaraczkowy“, prosty w mowie, jak linja matematyczna.

Siadł i zawahał się.

— Niech się pan nie dziwi staremu człowiekowi, bo jest ojcem, bo ma syna, bo syn zbuntował się przeciw szkole.

— Nie dziwię się, bo mam troje dzieci, które się także zbuntowały przeciw szkole.

— No, Bogu dzięki, to i pan ojciec... Ażebym też ojcowie nie mieli się porozumieć... Jestem sędzia, ławniki, chłopcy, pokazuję im telegram syna, pytam, co o tem myślą. Pomyśleli i powiadają: a proszę wielmożnego pana, trzeba z dziećmi trzymać... Ale żeśmy to prowadzili sprawę religji w Białej i w Siedlcach, więc dzieciaki nam wierzą. Powiadamy im: wracajcie do szkoły a my dalej zajmujemy się sprawą. I dzieciaki wróciły do szkoły. Proszę pana, tu trzebaby coś podobnego zrobić, dzieciaki do szkoły a starsi zająć się sprawą szkoły.

— Nie wiem, czy się to uda, bo umysły są bardzo wzburzone.

— A co by pan powiedział, gdyby tak urządzić zebranie, na którem rodzice rozmówiliby się z kuratorem Szwarcem?

— Wspaniała myśl, polityczna myśl.

— A chwała Bogu! A tak mnie straszyle, że panowie będziecie temu przeciwdziałali! Uściskajmy się!

— Uściskajmy się! — Ale czy kurator zgodzi się na takie zgromadzenie?

— Może się zgodzi. Bo ja go znam, ja z nim szczerze, ja mu już dawniej mówiłem: kuratorze, bo będzie źle... dziś młodzież rzuca kaloszami... a jak, panie, jutro zaczną brzusy rozpruwać i wypuszczać jelita...

— Daj pan pozwolenie a my damy publiczność!

— Chwała Bogu, chwała Bogu!

I poleciał.

Szwarc wahał się. W Łomży rodzice jednozgodnie mu oświadczyli, że solidaryzują się z dziećmi. Odwołał się do ministerjum, które zostawiło mu swobodę działania. Czertkow był chory. Nolken jako oberpolicmajster zgodził się a nawet obiecał, że policji całkiem nie przyśle, jeżeli będzie miał pewność, że nikt Szwarzowi nie nagada „pakostiej“ (głupstw).

Ale: nie pozwolono wiecu zapowiedzieć w gazetach, nie pozwolono na udział prowincji i żądano, aby wiec odbył się już w niedzielę 19-go lutego.

Tedy w piątek wieczorem o godzinie 6 wpadł zadyszany inicjator i przyniósł drukowane zaproszenia.

W kancelarji czekały już od kilku godzin ludzkie telefony, te warszawskie ludzkie telefony, które, jak zadzwonią, to w pół dnia słyży już cała Warszawa. A chodziło o to, żeby do udzielenia pozwolenia nikt w Warszawie o wiecu nie wiedział, bo gdyby się rozniosło, władze dowiedziałyby się, jaki charakter będzie miał wiec i wtedy na pewno nie pozwoliłyby.

Inicjator umiał swoją drogą poruszyć wszystkie sfery, nawet ugodowe. Inicjator, przybysz, nie znający stosunków Warszawy nie znał też i ugody.

Teraz trzeba było zwołać wiec organizacyjny i wyznaczono go na sobotę godzinę 9-tą wieczorem.

Wtedy ruszyli się Narodowi Demokraci. „I my chcemy wziąć udział!“ Dobrze, weźcie udział.

Ale wśród „tych“ narodowych demokratów nie było pp. Dmowskich i Wasilewskich. Byli natomiast przedstawiciele Koła Wychowawców i Związku Unarodowienia Szkół, którzy już uczuwali silne wątpliwości, czy ich dotychczasowe stanowisko było słuszne.

Czuć było w powietrzu, że będzie zgoda, że musi być zgoda.

I zapanowała nadzwyczajna zgoda. Każdemu przyświecał tylko cel jedyny: niechaj to zgromadzenie jutrzejsze odbędzie się z godnością.

Przewidziano wszystko. Ułożono... psychologię oczekiwanego wiecu.

Ustalono kilka zasad. Będziemy mówili bez motywów, bo nam ich nie potrzeba a pan Szwarc słucha tylko „rozporządzeń rządowych“. Nie będzie żadnych głosowań; akla-

macyjne brawo zastąpi wszelkie głosowania, boć to, o czem będzie mowa, musi przejść przez aklamację. Na to wszyscy się zgodzą, o ile zgodzą się na głos własnego sumienia.

I nikt słowa nie piśnie o tem, że istniała między rodzicami a dziećmi jakaś niezgoda. Tej uciechy Szwarc nie będzie miał.

Ustalono liczbę mowców, co mają mówić, w jakiej kolejności, w jakim tonie. Jeżeli pierwszych czterech mowców nie poruszy publiczności — ha, będziemy fuszerami i nie wdawać się nam w budowanie Polski...

Ludzie odrzucili precz swoje ambicyjki, godzili się na proponowane im poprawki, zawahano się tylko pod jednym względem:

— Jakto, was ma jutrzejszy wiec, prawdopodobnie z 2000 osób złożony, usłuchać? Wy wierzycie, że pokierujecie nim?

— Tak, odpowiedziano. Wedle zasady ci zawsze zwyciężają, którzy przychodzą zorganizowani.

Wybrano prezydjum, wybrano asesorów, żadnego szczegółu nie pominięto.

Boć „jutro“ miał być rzucony na szalę honor polski. Rosjanie mieli swoje bankiety, swoje zjazdy, swoje „okazatelstwa“, swoje śmiałe telegramy do cesarza... Polska inteli-

gencja dotąd milczała. Jutro miała wygłosić... swoje zdanie... określić... swoje stanowisko.

Przez resztkę niedużą nocy serca tłukły się w klatkach piersiowych jak biedne, czekające burzy ptaki...

Czy będzie zwycięstwo, czy będzie... hańba?

A przez noc Warszawa huczała agitacją. Miasto poruszyło się do dna. Wstał nareszcie pamiętny dzień 19-go lutego, taki słoneczny, taki jasny... jak nadzieja.

Do Muzeum Popierania Handlu i Przemysłu płynęły tłumy. Tłumy te cisnęły się jak wzdęta fala, każdy chciał wejść. Nauczyciele prywatni utworzyli podwójny szpaler, który co chwila łamano. Chodziło wprost o wytrzymałość architektoniczną gmachu.

Tysiąc pięćset, czy tysiąc sześćset osób zapełniło salę, tysiące stały przed gmachem, tysiące wróciły do domów, czekając nadaremno.

A Szware przypuszczał, że nikt nie przyjdzie, albo niewielu... a przyszedłszy, będą go... przepraszali i prosili... A w takim razie możeby lepiej udano się do niego a nie on do Muzeum.

Sędzia szaraczek-inicjator wpadł do kuratora i łapiąc oddech rzekł:

— Kuratorze, zdaje się, że zrobiliśmy

głupstwo: ja, że o wiec prosiłem, kurator, że na wiec pozwolił... Kurator mówił, że nikt nie przyjdzie... A tam naród wali od samego rana...

Tu zniżył głos, popatrzał po kuratorze i zaczął mówić dalej:

— Wie kurator, trzeba się dobrze namyśleć... Bo to wielkiej sympatji kurator jakoś nie posiada... A ten mundur, te ordery i to wszystko... Cóż kurator myśli?...

Toteż kurator zjawił się potem w pięknym, autentycznym czarnym surducie, w lakierkach, w spacerowych rękawiczkach, poważny, wyprostowany, siwy, o rysach pięknych, postać niemal... godziwa! I gdyby się nie wiedziało, co to za notoryczna... szelma...

Na sali gwar. Czuć w powietrzu elektryczność. Czuć, że będzie jakaś burza, na którą się zbierało lat czterdzieści jeden.

Czuć wszędzie niepokój, ale nie ten, którego macierzą jest lęk. Ale ten, którego ojcem jest — jakieś niezwykle postanowienie.

Widać reprezentantów wszystkich sfer, widać cały sztab ugody, widać przedstawicieli opinii publicznej, adwokatów słynnych, redaktorów głośnych, lekarzy znanych na całą Warszawę. Tak, widać przedstawicieli całego społeczeństwa.

Nikt nie został pominięty.

Inicjatorowie odczytują formalne słowo wstępne. Następuje wybór prezydium. Kandydat umówiony przechodzi przez akłamację, asesorowie przez akłamację.

Już jest dobrze.

Zabiera głos przewodniczący. Mówi poważnie, dziwnie poważnie. Chodzi o nasze dzieci, więc o nas samych; chodzi o ważną sprawę polską. Czy nie braknie nam sił, rozumu i taktu?

— Nie braknie! — woła publiczność.

Mamy zaprosić na zgromadzenie kuratora. Człowiek ten sympatją się nie cieszy. Ale czy mamy dosyć sił, aby się z nim porozumieć kulturalnie, czy czujemy w sobie dostateczną ilość charakteru?

— Tak, tak, posłać po Szwarca, musimy się rozmówić z nim twarz w twarz — brzmia dokoła głosy.

Jadą po Szwarca.

Przewodniczący otwiera wiec i udziela głosu pierwszemu z ustanowionych mówców.

Ten wykazuje, że szkoła obecna jest instytucją policyjno-polityczną, że paczy charakter, że młodzież uczy się tylko dla patentu a nie dla nauki.

Publiczność grzmiącymi oklaskami potwierdza, że tak jest istotnie.

Występuje drugi mówca. Co mówił? To, co każdy miał oddawna w duszy!... On tylko wyjął owe myśli z serc ludzkich, z dna serc ludzkich...

— Nie powinniśmy nic żądać, wszystko trzeba poprostu — brać! Chcemy szkoły z polskim językiem, z polskimi profesorami, z polską duszą i w rękach polskiego społeczeństwa...

Publiczność, słysząc te słowa, które dotąd gdzieś głęboko były w duszy schowane, odemknęła usta... Jakto, tak głośno, tak szczerze — i to można? doprawdy, można? Tak publicznie? Tak — jawnie?

Nagle wszyscy zerwali się z miejsc, zahuczała burza oklasków, trwała minutę, półtorej, dwie...

Występuje mówca trzeci:

Taką szkołę może nam dać tylko... izba prawodawcza w Warszawie!

Huragan oklasków.

Na mównicę wchodzi mówca czwarty.

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, ten młody zdusi centaury. Młodzież wprawdzie jeszcze nie urwała łba hydrze szkolnej. Pomóżmy jej tedy a może potem ona pomoże nam zdusić centaury...“

Co się to działo wtedy na sali... Kolego, chodź na papierosa... To już teraz... samo pójdzie! I poszło. Jak lawina poszło. To nie był wiec, ale zgromadzenie ludowe, to było zebranie ludzi, którzy przez czterdzieści jeden lat czekali na taki dzień...

Wchodzi Szwarc. Jaki majestat! On jeszcze nie rozumie, jeszcze nie przypuszcza, on jeszcze wierzy, że będzie miał przed sobą uniożonych... rzeczywistych tajnych Polaków...

Nie, Warszawa już zerwała maskę z twarzy, maskę lęku i hypokryzji, Warszawa stała się znowu dawną, niepodległą Warszawą, która: „podnosi rękę i koronę ściągając...”

Szwarc zaczął od tego, że młodzież zostanie wydalona.

— Ona się sama wydzieliła — brzmia zewsząd głosy.

— Więc toby znaczyło, że rodzice podburzają młodzież?

— Tak, tak, tak, rodzice trzymają z młodzieżą...

Kurator uśmiechnął się i rzekł zjadliwie:

— Ależ w takim razie może chodzi już nie o szkołę polską, ale o granicę pomiędzy Przywiślańskim krajem a Ro...”

— Niema żadnego Przywiślańskiego kraju,

jest jedno Królestwo Polskie — zahuczała burza krzyków.

Kurator znowu się uśmiechnął i rzekł:

— Pardon... Carstwo Polskoje...

A potem mówił już... Polska.

A potem mówił nawet, iż uznaje potrzebę szkolną Polaków, bo to taki ucywilizowany, taki literacko i umysłowo bogaty naród.

I tu dostał brawo, które znaczyło: rozumie się, panie kuratorze... Dopiero teraz na to wpadłeś?

Kurator, ta niemal godziwa postać, zaczyna węzowemi słówkami mówić, że właściwie prasa wywołała nieporozumienie pomiędzy szkołą a społeczeństwem. Mówił po rosyjsku.

Wtedy jeden z prywatnych nauczycieli odpowiedział mu (po polsku), że to tak nie jest, bo jako były redaktor chciał kilkakrotnie sprawy szkolne poruszyć i zawsze cenzorski ołówek pana kuratora Szwarca wszystko przekreślał.

Kurator przerywa mu: „Eto nie toczno tak“ a mówca z wielką elegancją: „Więc pan kurator rozumie po polsku? Tem śmielej będę mógł mówić!“

Kurator, który się przedtem zarzekał, że po polsku nie rozumie, teraz uśmiecha się tak... niewinnie... jak w Damaszku na procesji

tureckiej ten pielgrzym mahometański, którego w porę złapałem za rękę.

Tu nastąpił wspaniały zwrot. Zabrał głos Peplowski.

Była to niby prywatna rozmowa, ale słyszana na całą salę. Kurator powiedział, że po polsku nie rozumie. A chodzi o to, żeby dobrze zrozumiał, co się tu mówiło. Więc Peplowski mu przetłumaczył sens wszystkich przemówień.

Oto ja, ojciec, nie mogę mojemu synowi powiedzieć: wracaj do szkoły, kajaj się, uniź się, przepraszaj, żeś śmiał upomnieć się o to, co się tobie z praw sumienia i z praw natury należy, bo ten syn zbuntowałby się przeciwko mnie. A stronę syna wzięłaby córka, wzięłaby matka i ja, Polak, ojciec, patrzyłbym na ruinę mego domu... Ja memu dziecku nie mogę tego powiedzieć, bo kłamałbym i przed dzieckiem i przed sobą i przed panem, panie kuratorze. Powiedz tam wyżej, że my, społeczeństwo polskie, o nic nie prosimy, tak o nic nie prosimy, że my na podstawie niezłomnej woli naszej zamykamy sami szkołę rosyjską i wszystkich sił dołożymy, aby z dniem 1 września już otworzyć szkołę polską...

Kurator małał, kłaniał się, dygał, wychodził. Obwieszczono obecnym postanowienie,

zagrzmiała sala od brawa i okrzyku, a wtedy ktoś przyskoczył do prezydium:

— Teraz zamknij pan wiec...

I publiczność jeszcze ochłonąć nie mogła. Nie chciała z sali wychodzić, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jedni płakali, drudzy ścisłali się. Wychodzą. Tłumy młodzieży czekają na schodach.

— Czapki z głowy! — zakomenderowano.

— Mowców na ręce!

.

Wieść o wiecu rozbiega się po Warszawie. Czy pamiętacie zakończenie powieści Belamy'ego? Budzi się z świata czarów, opowiada, co widział, nikt mu wierzyć nie chce...

Czy to słowa świadczyły o niezwykłości owej chwili? Czy też klimat, jaki tam panował? Klimat, nastrój, czar...

A klub Konserwatystów w kilka dni potem mówił w Krakowie: „wszystko to było międzynarodowe i kosmopolityczne“. A pan Dmowski pisał w „Przeglądzie Wszechpolskim: „Ruch umysłów w kraju nie doszedł do takiego napięcia, żeby usprawiedliwić to, co się wśród młodzieży stało“ (str. 182).

* * *

Ale p. Szwarc także się zorjentował. Bezpiecznie jest z nim rozmawiać!

W kilka dni rozpoczęło się aresztowanie mówców, skazywanie na kozę domową, na kozę w cytadeli, na wygnanie...

Wogóle z rządem umawiać się...

Książka „Strajk polityczny w Królestwie Polskiem“ (Kraków 1905, nakł. „Przedświtu i Naprzodu“) na str. 43 podaje odezwę biskupa djecezji lubelskiej Franciszka Jaczewskiego, który wezwał świętujących robotników do kościoła na naradę. „Ja ze swej strony zaręczam, że z powodu tego zebrania nikt do odpowiedzialności pociągniętym nie będzie.“ Biskup niezawodnie także się umawiał z rządem. Stało się inaczej. Nastąpiły tłumne areszty wszystkich, którzy się na tem zebraniu w jakikolwiek sposób odznaczyli.

Teraz, gdy już sprawy tak daleko zaszły, można się było skomunikować z opozycją rosyjską.

To nastąpiło. Skomunikowano się z ziemcami, z adwokatami, z postępowem dziennikarstwem.

Chodziło o wytłomaczenie, dlaczego jeden

parlament rosyjski jest nonsensem, dlaczego Polska musi stanowić całość odrębną.

Jeden parlament rosyjski, obejmujący przedstawicieli 150 milionów? Gdzież taki gmach, któryby ich pomieścił? Czy technika umie już takie gmachy budować?

Każdy poseł przemawiałby raz na pięć lat. Rypiniak radziłby nad uszczęśliwieniem Tatara krymskiego, poseł kaukaski nad uszczęśliwieniem Łotyżów, Jakut nad uszczęśliwieniem plemienia wielkorosyjskiego...

Wielość — to podstawa przyszłego ładu! Zupełna decentralizacja, sejmy poszczególnych krajów autonomicznie zupełnie niezależnych a parlament petersburski, złożony z przedstawicieli sejmów poszczególnych radziłby tylko nad rozdziałem wspólnych kosztów, nad wspólną polityką zewnętrzną...

Rząd i ludy? Rząd despotyczny i ludy? Wolna Rosja i ludy?

Co to jest dzisiejszy rząd i ludy?

Rząd to pająk a ludy to mucha.

Głowa tego pająka — car, szyjka — komitet ministrów, ramiona — generał gubernatorowie, lędźwie — gubernatorowie, kolana — naczelnicy powiatów, stopy — stojkowi. Taki pająk ujmuje „społeczeństwo“ i ssie, ssie...

A pókiż mucha da się tak wysysać!

Rząd obecny jest czemś zupełnie niepotrzebnym.

Rosja?

Rosja jest biedna, doprowadzona do ostatniej nędzy. Jeżeli Rosja chce w przyszłym związku ludów „konkurować“ o stanowisko, musi być — niezależna ekonomicznie, musi być bogata.

I oto wypadałoby teraz pomówić o niespodziance, jaką Europie rząd sprawił.

Jeżeli Polska nie znała siebie i swoich sił, jeżeli sama Rosja siebie należycie nie znała — to już Europa o Rosji nie wiedziała prosto — nic a nic.

Tak, nie wiedziała nic a nic.

Dlaczego?

* * *

Każdy widzi zazwyczaj to, co mu wygodnie widzieć i co widzieć chce. Jest to stara prawda, a my tylko nowi jej świadkowie. Do wybuchu wojny na Dalekim Wschodzie Europa kontynentalna widziała w Rosji potęgę mocarstwową i militarną, wierzyła w jej finanse, karabiny i rozum stanu, ceniła w niej lokatę pewną dla swoich miliardów, kochała się w jej pomysłach pokojowych, tyjących

powszechnego rozbrojenia i przypominając sobie przepowiednię Napoleońską zapytywała niemal: kiedy, kochanku, przywdziać mam rubachę kozacką i puścić się z tobą „byczka“? Może przyrównaliśmy ją do publicznej dziewczyny? Zbyt wiele zaszczytu. Spytajmy eleganckich, ulicznych łobuzów a na pewno nam odpowiedzą, że bądź co bądź cechą publicznej dziewczyny jest — dobroć. Nie, Europa nie była tą dobrą, głupią dziewczyną, nad którą prokurator wiedeński swego czasu łamał ręce, wskazując, że żadne kodeksy opieki jej nie zapewnią, jeśli, dążąc do stolicy, zaraz na przedmieściu wda się z pierwszym lepszym drabem, którego przypadkowo napotka. Głupia dobroć nie była cechą charakterystyczną Europy. Przypominała ona raczej jakąś szelmowską makarełę, która handlowała żywym towarem, utrzymywała domy gry i rozpusty, wierząc tylko w brutalność instynktów. Podłość była rzeką, na której stawiała swoje młyny. Europa rachowała i ufała tylko ołówkowi swoich rachmistrzów. Ale przerachowała się. Kiedy na trzy miesiące przed wybuchem wojny na Dalekim Wschodzie dla nikogo w Anglii nie było tajemnicą, czem się zakończy Mefistofelesowski chód dyplomacji rosyjskiej po scenie Mandżurji, Berlin i Paryż

puszczał młynka palcami na brzuchach. Wtedy Anglja na raz rzuciła wszystkie walory rosyjskie w połowie na giełdę paryską, w połowie na giełdę berlińską. Obie giełdy połączyły piekielne dawki i zyzując ku sobie figlarnie okiem, puszczały dalej młynka palcami na dobrze nasyconych brzuchach. Dopiero po tym fakcie niedyskretna prasa podała ludzkości do przeczytania dwa dokumenciki, jeden, który był wyraźny, bardzo wyraźny, a opiewał, jakie stanowisko zajmie Anglja, jeżeli Japonja, wplątana w wojnę, zostanie zagrożona przez jakiegokolwiek „inne“ mocarstwo, drugi niewyraźny, wykrętnie niewyraźny, dyplomatycznie bezkolorowy, który właściwie powiadał, czego Francja nie zrobi, jeśli Rosja wplątana w wojnę, zostanie zagrożona przez „jakiegokolwiek“ inne mocarstwo.

Bo to baron Sujematsu napróżno w Petersburgu obchodził przez dwa, czy trzy miesiące wszystkie ministerja, wysiadywał w poczekalniach wszystkich wybitnych osobistości, z nikim nie mógł się widzieć, z nikim dogadać. Petersburg był wtedy podobny do kancelarji powiatu będzińskiego, gdzie w godzinach biurowych „pana sekretarza“ złapać nie można, gdyż poszedł do swojej piekarni parowej. Biedny baron japoński miarkował,

miarkował i wymiarkował jedno: interesu nie zrobię, choć nie wiem, dlaczego. Pojechał tedy do Anglii i z wyspiarzami zawarł przy mierze.

O co Petersburgowi chodziło? Czy chciał wyciągnąć wszystkie konsekwencje z „pomnikowej“ kolei syberyjskiej i myślą finansową Wittego niby błogosławieństwem pokropić cywilizacyjnie tajgi syberyjskie, uspołecznić Jakutów, uczłowieczyć różne mongolskie książątka i z Mandżurji uczynić podmiejski ogród warzywny Europy? Nie, może chciał tylko zrabować, co się da, aby pokryć niedobory podatkowe rdzennej Rosji? I to nie? Więc cóż chciał ten Petersburg? Bośmy się to nauczyli mówić stylem Askenazych i Mommse-
nów. „Petersburg“, „Rzym“, „Paryż“, zamiast „Bezobrazow“, „Leon XIII“ i „Rotszyld“. Stylem takim krzywdzimy Petersburg, Rzym i Paryż. Nie żaden Petersburg, ale poprostu Bezobrazow do spółki z Ginsburgiem i kilku wielkimi książętami mieli „swoją piekarnię parową“, którą była kwestja koncesji leśnych na Korei. O opiekę nad temi koncesjami chodziło, o wkroczenie do Korei chodziło, o bezpłatną eksploatację olbrzymich lasów dziewiczych chodziło, o zmajętnienie Bezobrazowa, Ginsburga, wielkich książąt chodziło, więc

i o wciągnięcie w grę samego cesarza, czego dyplomata japoński wymiarkować nie mógł, gdy jednak wywąchał, że interesu nie zrobi.

I stało się to, co w języku rosyjskim całkiem słusznie możnaby nazwać: „bezobrazje“. Po polsku słowo to znaczy „skandal“, „święństwo“, „rozbój“, „nieporządek“. I oto, jak mówi piosnka podolska, „na wojenkę zatrąbiono“. Z ust zagorzałych państwowców rosyjskich padły słowa, nawołujące do „spełnienia świętego obowiązku“, nawet liberalna Rosja zachwiała się na chwilę i gwałtownie radziła utrzymanemu przez siebie pismu „Oswobodzenie“ rzewliwie „potrzebywać na wojenkę“, policja organizowała pochody studentów i uczniów, potrzebujących „hurra“ do każdego przechodzącego żołnierza, który stawał, wykrzywił „rożę“ do bohatercko głupiego uśmiechu i dziwił się swojej wielkości. A gdy go potem w Odessie sam Najjaśniejszy (który oby nam jak najkrócej jaśniał) przeżegnawszy ikoną zapytał: „Dokąd tedy wyruszasz, wierny mój żołnierzu?“ — wierny żołnierz, wykrzywiwszy zestrachaną „rożę“ odparł: „W jamponskuj gubernju, wasze wieliczestwo!“ „A po co?“ „Ibo buntujutsa Paljaki da Żydy!“

Kiedy zagrzmiały armaty pod Portem Artura, Europa tak się zaśmiała, jak razu pewnego dżokeje, gdy jakiś Maciek wjechał na swojej kobyłce na plac wyścigowy i stanął u startu. Niema chyba dziś na kuli ziemskiej większych zarozumialców nad Niemców, a zwłaszcza Niemców berlińskich. „Mucha japońska porwała się na lwa rosyjskiego“, wołano urągliwie. „Małpki japońskie“, mówił nam pewien dzielny zresztą profesor berliński, „wyuczyły się grać na fortepianie a uważają się za kompozytorów!“ Ach, tak, bo te małpki studjowały u owego profesora meteorologję a profesorowie berlińscy uczą wprawdzie chętnie, ale dla takich uczniowskich narodów czują niesłychaną pogardę. „Tchu tym małpkom żółtym nie stanie, choć to małpki, prawda?“ Rzecz szczególna, jak się tym „niezależnym“ myślicielom berlińskim udziela „sposób myślenia“ sfer, robiących politykę Niemiec! „W Rosji nie będzie rewolucji“ wywodził nam dalej ten sam profesor. „Patrz pan, jak się to wszystko żegna ustawicznie, jak wybija pokłony hi, hi, hi!“ Tymczasem błagalna procesja Hapona, z ikonami, krzyżami, opluta kulami, złana krwią, zamienia się na zbuntowany lud, który przez usta swego kapłana-rewolucjonisty grzmi w stronę cesarskiego

pałacu: „Zginiesz ty i twój węzowy ród!“ Kłęska na morzu, no, ale jeszcze nie na lądzie! Kłęska na lądzie, no, to w górach, zobaczymy, co będzie w równinach! Kłęska bezprzykładna w równinach... I kurs rubla się trzyma. Sfinksowa zagadka! Ot, potęga Rosji, ot przedwczesne jeremjady, ot targowanie się o skórę niedźwiedzia przed polowaniem! Gdzie Salomon, któryby nam wyjaśnił tę finansową moc Rosji?

Już nad tą mocą zrobił „krzyżyk“ Lucjan Wolf, ale mu poważnie perswaduje Paweł Leroy-Beaulieu*), a to przecież członek Instytutu, ten sam, który uczciwie przestudjował „Règlement définitif du budget de l'Empire pour 1903, S. Petersbourg 1904“. A że Salomona trudno wskrzesić, więc zapytaliśmy się Salomonka o ową sfinksową zagadkę, który nam z dobrotliwym uśmiechem odpowiedział: „Proszę bardzo, ale papiery rosyjskie posiadają grube ryby, więc te grube ryby muszą kursy podtrzymywać i powoli spuszczać, co mają, małym rybkom. A jak te papiery już przejdą całkiem do małych rybek od dużych ryb, to się nagle zrobi bessa i będzie od razu

*) „Neue Freie Presse“ N. 14613 z dnia 30 kwietnia 1905 r.

wielka plajta... Znakomity interes, tylko go umieć zrobić.“

Wszyscy wszystko widzieli, wszystko działa się na oczach całego świata a teraz jakoś każdy mówi o niespodziankach. Paradoksalne! Niemal „ben trovato“, gdyby nie był tak krwawe „vero“.

Dyplomaci europejscy przebywali w Petersburgu i w Tokio, strategicy europejscy zjawiali się na wszystkich rewjach wojskowych Rosji i Japonji, dziennikarze europejscy nie ominęli ani jednej sposobności do wywiadu na archipelagu japońskim i w „części świata“ zwanej Rosją, jak razu pewnego poprawił Aleksander III. jednego ze swoich ministrów, gdy ten ośmielił się Rosję nazwać tylko „państwem“. Rząd cesarski w Petersburgu publikował bilanse państwa, wszystko było jawne, tak kolosalnie jawne, jak swego czasu „zdrowie ojca świętego Leona XIII.“ — i nagle klęska nad Jalu, klęska pod Kinczou, klęska pod Mukdenem, z Portu Artura nie zostało nic, a z Dalnego nawet nazwy, wylatuje w powietrze Plehwe, Sergjusz, profesorowie wszystkich rosyjskich uniwersytetów domagają się konstytucji, ziemstwa domagają się konstytucji a z Czernichowa idzie do cesarza depesza już wprost zuchwała, burzy się Krym, Kaukaz,

Finlandja, burzą się chłopi na Inflantach, a w Warszawie, w tej do niedawna tak popularnej Warszawie, panie zaczynają mówić o bombach jak o pomarańczach i Nolken pada u Mostu Żelaznego.

Znowu dwa paradoksy. Europa była za-
nadto ucywilizowaną, aby ocenić należyte postępowanie rządu rosyjskiego, i zarazem za mało ucywilizowaną, aby ocenić ruchy opozycji rosyjskiej, Finlandji, Kaukazu, Krymu i Polski. Za mało ucywilizowaną, bo przestała liczyć się z sumieniem ludzkim; za nadto ucywilizowaną, bo przecież już wyrosła z pewnych głupich... świństw, które się po prostu na dłuższą metę... nie opłacają.

Do jakiego stopnia „niezależną“ myśl europejską otumanić może byle co, jeśli tylko takie „byle co“ nie jest „byle czym“ w Europie, dowodzi rozgłosne „zapowiedzenie“ ofensywy przez Kuropatkina, dowodzi kurs rubla i renty, dowodzi wreszcie spór Lucjana Wolfa z panem Pawłem Leroy-Beaulieu na temat wypłacalności lub niewypłacalności Rosji. Uczony członek uczonego instytutu z całą powagą wykląda panu Wolfowi i całemu światu, że dług Rosji na 1-go stycznia 1905 r. wynosił siedm miliardów rubli z milionowymi ułamkami, czyli dziewiętnaście miliardów franków, z czego

„odpada“ na pożyczkę wojenną Dalekiego Wschodu, 450 milionów rubli t. j. 300 milionów pożyczki paryskiej, zaciągniętej na wiosnę 1904 r. i 150 milionów rubli 4, 6 proc. pożyczki wewnętrznej, a sam przyznaje, że do dalszego obrachunku nie wciągnie ostatniej pożyczki niemieckiej i drugiej pożyczki wewnętrznej. Po takich potrąceniach dług rosyjskiego państwa wcale nie przedstawi się groźnie, zajmie nawet miejsce trzecie w długach świata, bo dług francuski wynosi 30 miliardów franków, dług angielski 20 miliardów franków a rosyjski tylko 19 miliardów franków. Ciekawa logika! Pożyczył jednakową sumę ubogi i bogaty, człowiek bezpieczny i człowiek trapiący bombami, człowiek mający kasjerów rzetelnych i człowiek mający kasjerów złodziei, państwo u szczytu rozwoju i państwo chore jak Turcja. Tu znowu, jeśli chodzi o spokój wierzycieli, gdy nie możemy wskrzesić Salomona, zwróćmy się powtórnie do zwyczajnego Salomonka, który na pewno nie jest członkiem instytutu i który panu Pawłowi Leroy-Beaulieu wyjaśni swój pogląd na to, co się w „stosunkach kredytowych“ nazywa „pewnością“.

Ale p. Leroy-Beaulieu także narzeka. Widi niekorzystne oprocentowanie długu rosyj-

skiego państwa, bo kiedy Anglja płaci $2\frac{1}{2}\%$, Francja 3% , Rosja ze łzami w oczach płaci $3\frac{1}{2}$ do 4% .

Nie tu koniec bolączki rosyjskiej. Rosja płaci nietylko procenty, ale także amortyzuje dług, co razem wynosi rocznie ni mniej ni więcej tylko 302,526.190 rubli czyli 816 milionów franków.

Śpij, Salomonie, w grobie stuleci, a ty, Salomonku, odezwij się po raz trzeci, czem jest dłużnik, który, spłacając rocznie 303 milionów, dopożycza 300 milionów i jeszcze 150 milionów, „nie licząc ostatniej pożyczki niemieckiej i drugiej wewnętrznej?”

Ale p. Paweł Leroy-Beaulieu na poparcie swoich wywodów ma własną teorię, na którą się powołuje, a którą uwiecznił w „*Traité de la science des finances*“ i która to teoria głosi, że dopiero $35-40\%$ obciążenia budżetowych dochodów spłatami procentowo-amortyzacyjnymi staje się dla państwa groźnem. Żyjemy wprawdzie w czasach nienormalnych, ale bierzemy rok „normalny“ t. j. 1903, bo tak uczynił p. Leroy-Beaulieu. Otóż dochody miały wynieść 2057 milionów rubli, czyli $5\frac{1}{2}$ miliardów franków, więc amortyzacje i procenty stanowiłyby dopiero 15% , czyli nawet nie połowa drogi do piekła, zawartego w cyfrach $35-40\%$.

Ale te „dochody“ są obliczone brutto. Odciągając za 1903 r. koszty utrzymania kolei w sumie 316,921.000 rubli, dalej wydatki na poprawę tychże kolei w sumie 99,508.000 rubli i wreszcie koszty sławetnej administracji monopolu wódczanego w sumie 170,592.000 rubli, zostaje dochodu 1 miliard 471 milionów czyli 3 miljardy 950 milionów franków, więc do 1-go stycznia 1905 r. obciążenie budżetowych dochodów wyniosłoby już 21⁰/₀. Ładny skok naprzód w stronę piekła, wyrażonego liczbą 35—40⁰/₀.

A tymczasem wiemy na pewno, że w r. 1904 rząd powstrzymał wszystkie zamówienia na „utrzymanie i poprawy“ linii, że dostawcom, zamiast gotowizny, proponował coś 6 proc. od sumy rachunkowej i prolongatę na rok, że koleje upaństwowione dały straty, one, które właścicielom poprzednim dały bogactwo, że w r. 1903 budowa nowych linii pochłonęła 45 proc. długu. Pan Paweł Leroy-Beaulieu podaje nam na pocieszenie ceduły giełdy paryskiej, z których wynika, że Rosja musiała wprawdzie rok rocznie pożyczać t. j. żyć z długów, ale coraz rzadziej, bo zaciągała pożyczki w latach 1890, 1891, 1893, 1896, 1901. Ale za to zdwoiła w ciągu 20 lat sieć swych kolei, bo gdy w r. 1883 sieć ta wynosiła 23.000

kilometrów, dziś wynosi w samej Europie 53.258 kilometrów. Kilometr budowy kolei, wedle Lucjana Wolfa, kosztował 55.000 franków, p. Leroy-Beaulieu twierdzi, że to bardzo mało; my też wiemy, że tylko na papierze kosztuje 25.000 rubli, ale wskutek trzęsień ziemi, jakie się wbrew wszelkim doświadczeniom sejsmologicznym zdarzały około Bajkału i wskutek różnych innych cudów, jak nagle zniknięcie 400 wagonów z transportami, jeden kilometr wypadał może nawet nieobliczalnie drożej.

Ilość złota w Banku Państwa mimo wojny i owych trzęsień ziemi, trzęsień morza, podczas których tonęły pancerniki a wypływały ikony, wynosiła 889,753.000 rubli, czyli 2 miljarde 400 milionów franków, podczas gdy w maluchnej Francji 2 miljarde 760 milionów a w Anglii 1 miliard 7 milionów franków. Stan ten stwierdzono 23 marca 1905 r. Tymczasem należności z zagranicy wynosiły 115 milionów 81 tysięcy rubli t. j. 310 milionów franków a „cyrkulacja not“ 902 milionów 297 tysięcy rubli, czyli 2 miljarde 435 milionów franków a więc przewyżka inkassa złota wynosiła tylko 13 mil. rubli, czyli 35 milionów franków, kiedy zazwyczaj bywa w obiegu dwa lub trzy razy więcej papierów, niż złota.

Według Lucjana Wolfa wwóz jest większy od wywozu o 63 milionów 284 tysięcy rubli, czyli o 170 milionów franków w ciągu pięciolecia kończącego się 1901 rokiem. Wszystko to pięknie, powiada p. Paweł Leroy-Beaulieu, ale Rosja posiada huty i kopalnie; i oto zaraz na miejscu naczelnem wylicza Hutę Bankową z Dąbrowy, kopalnie węgla w Sosnowcu, w Czeladzi, w Dąbrowie...

Następnie Rosja jest młodym narodem! Narodem? To coś tak, jak z narodowością austriacką... Cóż znaczą spadki kursów! Papiery sześcioprocentowe Stanów Zjednoczonych spadły swego czasu na 75, trzyprocentowa renta francuska po wojnie 1870/71 spadła niżej 50 a czteroprocentowa hiszpańska do 30, kiedy dziś stoi na 90! Tak, ale jaką swobodę posiada wydajność obywateli amerykańskich, jak łatwo było Edmundowi Chojeckiemu zaprojektować Francji spłatę kontrybucji wojennej, podczas gdy w Rosji co zasieje Witte, to zbierze Bezobrazow a cesarz rosyjski na nic czasu niema, bo jak Abdul Hamid w Konstantynopolu musi osobiście udzielać koncesji na nowe kawiarnie, tak Mikołaj II. w Petersburgu sam musi decydować, czy Towarzystwo Huty Żelaznej Puszkina może kupić od kogoś morgę gruntu, lub czy czteroklasowe pensje

pp. Strzemińskiej, Kaczyńskiej i Golańskiej mogą być bez groźnego niebezpieczeństwa dla państwa zamienione na pensje siedmioklasowe...

Takie zestawienia z Ameryką, Francją, Anglią i ich wydajnością byłyby bardzo zabawne, gdyby nie istniały inne cyfry a dla nas tragiczne. Bo gdy od czasów Królestwa Kongresowego ludność polska urosła o dwa i pół raza, wkład nasz budżetowy wzrósł piętnaście razy. Kiedy w Rosji płaci się około 5 rubli podatku na głowę, u nas 15 rubli. Rząd rocznie zagarnia z naszego kraju blisko 100 milionów rubli na czysto. Wkładając w nas 1 rubla, wyciąga 1 rubel 14 kopiejek; wkładając zaś takiegoż rubla w swoje rdzenne prowincje, otrzymuje w zamian 37 kopiejek!...

Ameryka, Francja, Anglja!... Przed kilku laty z inicjatywy Wittego wydelegowana komisja, złożona z 11.000 członków, stwierdziła, że nędza rosyjskiego chłopca doszła do granic ostatecznych, że chłop ten rocznie, zamiast jakichś 20 pudów, zjada tylko 16 pudów, że przeciętnie wewnątrz każdej chałupy rosyjskiej zawiera tylko trochę zbutwiałej słomy, na której ludzie leżą pokotem, blisko siebie, szczelnie nakryci, aby nic z ciepła nie utracić, tak leżą całą zimę, sięgając tylko obok po strawę...

Ameryka, Francja, Anglja!... Już wtedy rząd doszedł do niezbitego wniosku, że ludności dalej opodatkować niepodobna, że za pomocą biurokracji nie da się dłużej kierować nawą państwową. Tak, ale zawsze jeszcze pozostaje droga do lichwiarza. Rząd udał się do Francji i za miljarde republikańskie Rosja jeszcze kilka lat miała butwieć w więzieniu despotji...

Ameryka, Francja, Anglja!... Tak, rząd umarzał chłopu rosyjskiemu zaległości podatkowe a w pierwszych miesiącach wojny z naszych kas miejskich i gminnych wyłudził w formie „dobrowolnych ofiar“ 605,205 rubli, nie licząc sum, które wyłudził od naszych fabrykantów, ziemian, urzędników...

Te złotociągi „dobrowolnych ofiar“ jakiś humorysta rosyjski przedstawił graficznie; u smoka w Europie miljony, u wylotu na Dalekim Wschodzie dwie figi...

Każdy pomysł błogostawiony zamienia się na przekleństwo. Wciągnięcie kapitałów zagranicznych zakończyło się wielkim krachem, „kulturalna“ kolej syberyjska stała się tylko mostem dla Bezobrazowa. Żaden Plehwe z pewnością nie czytał Spinozy Traktatu Religijno-Politycznego, skoro wierzył, że

rząd może być inicjatywą, myślą przemysłową, głową uczoną, sztuką, religią... Myśl twórczą reprezentował w państwie rosyjskiem... policjant! I oto pan Paweł Leroy-Beaulieu przeprowadza jakieś paralele pomiędzy Anglią, Francją, Stanami Zjednoczonymi?...

A teraz po pięciu kwartałach skandalicznej wojny, po wykazaniu, co potrafi policjant, gdy tylko zechce zastąpić inżyniera, artylerzystę, człowieka nauki, inicjatywy i sumienia, po tem morzu krwi, które pociekło na Wschodzie Dalekim i Bliskim, niechaj powiedzą sobie nareszcie członkowie instytutu paryskiego, profesorowie berlińscy i strategicy całej kontynentalnej Europy: nie wiedzieliśmy o Rosji nic; widzieliśmy tylko to, co nam wygodnie było widzieć...

Stara prawda, tylko my nowi jej świadkowie, tragiczni świadkowie...

Tak, tchu Japonji nie stanie, Japończycy są żółtymi małpkami. Rosja jest dobrą lokatą dla republikańskich miliardów. Rosja będzie wojska słać, słać... Czy wiecie, co to jest kozak? Czy wiecie, co to jest wojna dewastacyjna? Na bok inżynier, na bok artylerzysta, kozak idzie!...

Jeśli Rosja ma coś na papierze, to już p. Paweł Leroy-Beaulieu kalkuluje spokojnie.

Rosja zaprasza na rewje wojskowych całej kontynentalnej Europy. Wojskowi ci dostają ordery i składają swym rządóm raporty pełne uśmiechów. A toż szlachcica naszego z pod Lublina trzeba się było zapytać! On powiedziałby coś mniej uśmiechniętego na ten temat.

Bo oto rewja. Oto śniadanie. Głównodowodzący zapytuje jenerała Kozodusina.

— Gdzie pańska kwatery?

— W Psiej Wólce, ekscelencjo!

— A pańska, jenerale Iwanowiczu?

— W Mysiej Wólce, ekscelencjo!

Szlachcic, który kupował od obu jenerałów wyrażerowane konie, wytrzeszczył oczy.

— Panowie się mylą — rzekł. Rzecz ma się na odwrót. Pan Iwanowicz dostał kwatery w Psiej Wólce a pan Kozodusin w Mysiej Wólce.

Jenerałowie poczerwienieli. Ale też ów szlachcic z pod Lublina wcale się potem nie dziwił, gdy czytał telegramy o klęsce pod Kinczou, nad Jalu, pod Mukdenem...

Europo, czego ci brak, oka, czy sumienia?

Przed kilku laty poznałem się przypadkowo w Rzymie z pewnym Niemcem Pomorzanie.

— Ich bin ein Preusse...

— A ja jestem Polakiem...

Pomorzanin bardzo się zdziwił. Słuchał tedy z zainteresowaniem mej opowieści o dwudziestomiljonowym narodzie, o dwóch naszych uniwersytetach, o Akademji Umiejętności. A gdy mu później zacząłem opowiadać o Unicach, o Krożach, cytadeli warszawskiej, chwycił się za głowę i zawołał:

— Ależ czemu pan do nas nie przyjedzie? Czemu pan o tem nam nie krzyczy? Trzeba zrobić wielki gwałt...

Nagle urwał, poskrokał się w koniec nosa, machnął ręką i rzekł, nie patrząc:

— Albo niech pan lepiej nie przyjeżdża... Po co?... My mamy... swoje interesy...

Więc może Europa nie posiadała ani oka, ani sumienia? A teraz dziwi się?

Z węglowego zagłębia naszego pognano do Warszawy 10.000 brańców. Magazyny wojskowe Warszawy otrzymały polecenie odziania tych brańców w kożuchy. Po długich szukaniach znalazło się w magazynach warszawskich 1500 kożuchów...

Intendentura warszawska wchodzi bezpośrednio w stosunki z kupcami i dostawcami zagranicznymi, ale ponieważ listy zagraniczne są pisane po niemiecku, przeto z takimi listami zjawiają się oficerowie u kupców warszawskich, prosząc o przekład...

Z podobnymi listami przychodzą do kupców warszawskich nawet oficerowie sztabowi...

Przed wybuchem wojny jechało razu pewnego dwóch panów koleją z Portu Artura, oficer i lekarz. Zaznajomili się a oficer rzekł:

— Wierzysz pan w proroków?

— Dziś?

— Tak, dziś. Ja będę prorokiem. Patrz pan na te gmachy po lewej. Otóż przepowiadam, że z chwilą wypowiedzenia wojny gmachy te spłoną.

I rzeczywiście spłonęły. Na całym obszarze państwa rosyjskiego grasowała wtedy istna epidemia pożarowa magazynów wojskowych.

Na rewje pułki wypożyczały od siebie wzajemne całe wyposażenie. Z takim wypożyczonym wyposażeniem ruszyły wojska z Częstochowy na Daleki Wschód.

Pewien inżynier-chemik, powołany na ćwiczenia, badał panczerzyki melchjorowe kul i przekonał się, że coś 75 proc. tych panczerzyków wskutek wystrzałów pękało. Więc i tu odbywało się fałszerstwo w dostawach...

Przed sześciu laty u piszącego te słowa znaleziono wyczerpujący artykuł o tych nadużyciach, przeto z Najwyższego Rozkazu oddano autora pod jawny dozór policyjny... A ten sam Najjaśniejszy publicznie rzekł do literatów

i dziennikarzy: „panowie, pisać prawdę i tylko prawdę“...

Anglja, Francja, Ameryka!... Jedno zestawienie ma tylko sens, bo poprzą je fakty. Rosja ma wręcz odwrotną logikę, niż Japonja. Bo gdy kraina „wiśniowego drzewa“ przekonała się, że musi się gotować do wojny z Rosją, wtedy rzekła do swoich żółtych dzieci: ruszajcie w świat, uczcie się tam, przywieźcie do ojczyzny wszystkie zdobycze myśli, techniki, wojskowości...

Rosja postąpiła na odwrot. Zamknęła granicę rogatką paszportową a kiedy jeden z profesorów politechniki warszawskiej chciał ze swymi uczniami wybrać się w czasie wakacyjnym na studia do Szwajcarji, jenerał gubernator Czertkow bardzo się rozgniewał i nie pozwolił, bo „Szwajcarja krajem socjalistów“.

Japonja dała zupełną swobodę prasie, gdyż wiedziała, że prasa to najlepszy kontroler.

Równocześnie zaś Rosja zakneblowała prasę do granic ostatecznych, a gdy rządowe biura statystyczne zaczęły ujawniać rzeczy nieprzyjemne, kazano wszystko wstrzymać.

Przed dwoma laty pisma rosyjskie podały z urągowiskiem tureckie przepisy cenzuralne do wiadomości publicznej i publicznego śmiechu. Tymczasem ujawnione niedawno

przepisy cenzury rosyjskiej brzmią niemal identycznie jak tureckie — jak tureckie!

Wojna, to egzamin. Europa była egzaminatorem, Rosja jej faworyzowanym uczniem. Przed wojną głaskało się tego ucznia po policzkach. A tu uczeń obcina się raz za razem...

Europa widziała to, co chciała widzieć. Stara, bardzo stara prawda, stara jak konferencje w Hadze, jak trzy nasze nadaremne powstania, jak bulla Grzegorza XVI-go „Sollicitudo animarum“...

Obyśmy tylko onej szelmowskiej prawdy po raz ostatni byli świadkami.

* * *

Ale to dopiero wskazówki do rozwiązania zagadki: czym był rząd?

Czem jednak była sama Rosja?

Obecne ruchy starano się przyrównać do ruchu Dekabrystów i wyciągnąć pesymistyczne wnioski. Nic błędniejszego nad podobne zestawienia. Ongi wołano w Rosji: „Żądamy konstytucji“ a nie podawano jej treści. Anegdota historyczna twierdzi, że wtedy Mikołaj I. ukazał swoją żonę i krzyknął: „To wasza konstytucja!“ Tłumy paść miały na kolana.

Dziś nikt w Rosji nie wypowiada wyrazu

konstytucja, tylko podaje jej treść. Oto znamienna różnica.

Bomba, rzucona ręką Hryniewieckiego pod Aleksandra II., była kreską pod dawnym systemem walki o wolność polityczną. „Precz z terrorem!“ zawołano, „trzeba się wziąć do pracy u podstaw.“

Ale czy praca ta miała być podobną do pracy warszawskich organiczników? Bynajmniej. To nie posiadacze krzyknęli „precz z terrorem“, ale rewolucjoniści, działacze, ludzie myśli, słowa i czynu.

Lud wierzył w cara, car Aleksander III. wierzył w swoje boskie posłannictwo. I cóż, że się strąci głowę z kadłuba, gdy sam lud nasadzi na ten kadłub głowę drugą?

Chodziło tedy o oświecenie tego ludu. Ludu, samego ludu? Nie, chodziło o oświecenie klas... oświeconych.

Takiem podłożem kulturalnej pracy stały się ziemstwa. Niechaj nie mówią socjali demokraci, że oni przygotowali rewolucję w Rosji. Przygotował ją rosyjski — intelekt.

On musiał najpierw sam zrewolucjonizować się. On dał tych nadzwyczajnych autorów-obywateli, tych Gorkich, te różnolite dusze, nieraz biegunowo różne, tych apostołów i satyrów, jak Tołstoj i Szczedrin, tych uczo-

nych i dziennikarzy, którzy niekiedy miewali po 100.000 czytelników, tych nadzwyczajnych inżynierów, którzy pobierali rocznie po 30.000 rubli, żyli z 2000, a oddawali 28.000 na „sprawę“.

Dlatego też ziemstwa były pierwsze, na których Plehwe położył ciężką swoją rękę.

Rewolucja szła w Rosji z góry na dół. Rewolucja rosyjska miała najpierw generałów a później armję. Jeżeli chodzi o prawdziwy występ tej armji, to stało się to dopiero w czasie procesji Hapona.

My o Rosji nic nie wiedzieliśmy i nie chcieliśmy wiedzieć. „Byle stamtąd światło nie przyszło“, szeptali starcy w Warszawie. „Nulla lux ex oriente“ — a tymczasem jest to fakt niezbity, że kiedy podczas wojny pisma warszawskie wskutek cenzury stały się całkiem jałowe, zaczęły pisma rosyjskie rewoltować Warszawę. Czertkow myślał nawet o niedopuszczaniu rosyjskich gazet do Warszawy. A napływało ich wiele. Księgarnia Wendego i Sp. tylko za jeden miesiąc zapłaciła prenumeraty 1500 rubli.

Rosyjska opozycja zdobyła sobie cały szereg koncesji. Gdy zamknięto jej jeden organ, wydawała natychmiast drugi, trzeci. Wszystkie zjazdy hygjeniczne, lekarskie, techniczne, prawnicze, etc. zamieniały się na wielkie

wiece polityczne. Cała kultura umysłowa przeszła do rąk opozycji.

Opinja!... Profesorowie Kariejew i Pogodin piszą niesympatycznie o kwestji polskiej. I oto powód do narzekania na opinię opozycji rosyjskiej. A cóż nas obchodzić może opinja rosyjskiej opozycji!

Zmieńmy ją. Nic łatwiej się nie zmienia, jak opinja publiczna. Pokażmy tylko zęby a opinja w Rosji zmieni się natychmiast na naszą korzyść.

To się już po części stało. Tylko nie należy niczego po nikim spodziewać się, o nic prosić. Wszystko trzeba — brać.

Wtedy Rosja będzie się nami zachwycała.

Cóż to jest ta osławiona opinja rosyjska?

Okolo Nowego Roku zjawił się w Kancelarji Wieców Polskich w Warszawie p. Wsewołod Swatkowsky, korespondent „Rusi“. O piśmie tem Polska posiada bardzo bałamutne wyobrażenie. Tata Suworin redaguje „Nowe Wremja“ i asekuruje rodzinę Suworinowską na wypadek zwycięstwa reakcji. Syn Suworin redaguje „Ruś“ i asekuruje rodzinę Suworinowską na wypadek zwycięstwa opozycji. A wtedy albo tata sprowadzi się do syna, albo syn do taty. Asekuracja bardzo po kupiecku

pomyślana. A cóż robi w tej machinacji Czech Wsewołod Swatkowsky?

Wy się pytacie? Cóż to, żali już zatarał się w Waszej pamięci galicyjski pan Precliczek? „Ich bin ein Deutscher“ mówił on za panowania centralizacji. „Ja sem Polak“, mówił on w chwili polonizacji Galicji. A gdy się narodził nacjonalizm w Czechach, pan Precliczek opamiętał się i rzekł: „Nu ja sem eigentlich ein Böhme“...

Pan Wsewołod Swatkowsky jest dziś takim rosyjskim Precliczkiem. Przyjechał do Warszawy z ramienia „Rusi“, aby zbadać „ugodę“. Ale mu coś powiedzieli o „czerwonych“. Zaszedł tedy do „Kancelarji Wieców Polskich“. Na wstępie zaznaczył, że ma bardzo mało czasu.

— Nie wyobrażajcie sobie, panowie — mówiła: „die blonde Bestie“ — że „my“ możemy Królestwo Polskie tak całkiem odkrajać, jak rękę od Rosji. Konstytucja, dobrze. Ale „objedinenje“ jest niezbędne. A cóżby zrobił rosyjski kupiec, gdyby w Warszawie nikt z nim nie chciał rozmawiać po rosyjsku?

— A wie pan — odpowiedziano mu — jak się dziś z kupcem rosyjskim w Warszawie rozmawia? „Skolko stoit czaj? — Dziesięć groszy proszę pana dobrodzieja. — Skolko? Ga-

waritie po ruski? Charaszo, dziesięć kapiejek, wasze błahorodje“.

— Więc rozmowa po rosyjsku kosztuje o 100% drożej? No, przypuśćmy. Ale panowie żądacie służby wojskowej w kraju. „My“ tu musimy mieć swoje wojsko.

— To niby kupiec rosyjski bez bagnetu i nahajki nie może handlować? Przekonaliśmy się na Porcie Artura, jak skuteczną obronę dla kupca rosyjskiego stanowi nahajka i bagnet.

— Więc panowie sądzą, że jest wyjście inne z tego labiryntu?

— Niech kupcy rosyjscy zamienią się z najeźdźców w gości a będziemy ich w Warszawie tak przyjmowali, jak w Krakowie przyjmują czeskich Sokołów, panie Wsewołodzie!

— Mnie mówili panowie z ugody, że tu bardzo czerwono...

— Tak, tapety całkiem czerwone, cały pokój czerwony... Ale jeżeli chodzi o myśli, to tutaj ludzie tak rozumują, jak w Anglii, jak we Francji, jak w Ameryce, jak na całym świecie. A w białej Ugodzie właśnie tak rozumują, jak się nie rozumuje w Anglii, we Francji i w Ameryce, jak się już nie rozumuje na całym świecie. Ugoda przysięga się panu i rządowi, że Warszawa zachowa się „poprawnie“. A my panu powiadamy, że za

trzy tygodnie będą tu padały bomby, że nastanie powszechna zmowa przeciwko rządowi, że staną wszystkie zakłady naukowe, stanie cała oświata, telefony, koleje, gaz, tramwaje... nawet Ugoda stanie i nie będzie mogła ruszyć kroku dalej...

— Nu, nu, nu... ale już w pół do ósmej a ta Ugoda czeka mnie właśnie z kolacją...

— Smacznego, panie... Precliczek... przepraszam... panie Swatkowsky...

Niechaj nikt nie posądza Czerwonego Pokoiku o dar proroczy. To nie sztuka przepowiadać, gdy się „widzi“ nagromadzone prochy i zbliżającą się do nich... zapałkę.

Powiedz pan przynajmniej „lont“ — krzyczą styliści. — Nie, zapałkę, raczej — zapałki.

Tu trzeba było tylko — zapałek, a nie jakichś tam lontów.

Plehwe to rozumiał. Dlatego był zaciekłym wrogiem wszystkich ludzkich zapałek.

Wysyłał je do Archangielska, na Jakuty, na Krym. Ludzi z południa wysyłał na Północ, żeby marzli, ludzi z północy wysyłał na południe, żeby przymierali z gorąca. O takich rzeczach myślał Plehwe, faktyczny cesarz Rosji z przyległościami.

Ale oprócz tego myślał i o innych. Gotował najwstrętniejsze reformy. Chciał z libe-

ralnej ustawy gminnej Aleksandra II wypruć wszystkie wolnościowe żyły. Jeżeli tedy chłop troszkę się ukształci, lub dorobi, „przepisać“ go do stanu mieszczańskiego; inaczej będzie posiadał wpływ. Chłoptwo ma być biedne, ciemne i niechaj nikt nie wywiera nań wpływu, prócz „Trzeciego Oddzielenia“.

Plehwe chciał być sam. Cóż to, doktor Stokman z „Wroga Ludu“? Nie doktor Stokman a Wróg Ludu.

Aleksander III. był jeszcze bądź co bądź otoczony szeregiem zdolnych ludzi. Ale ci zdolni ludzie, rywalizując między sobą, starali się wzajemnie obalać. Gdy parł się do góry Plehwe za Mikołaja II., miał już przed sobą tylko Wittego a pod sobą takich, których nie potrzebował się obawiać.

Witte królował. Witte tworzył przemysł. Cóż prostszego, że za przemysłem szedł socjalizm?

Jest drzewo, świeci słońce, to musi być i cień. Witte był od drzew a Plehwe od cieni. Więc w gabinecie Plehwego zaczęto szeptać o tem, że Witte jest... socjalistą.

Fama twierdzi uporczywie, a podtrzymywał ją sam Witte, że pewnego razu Plehwe zjawił się u cesarza z papierem w tece, który

proponował zrewidowanie mieszkania ministra finansów...

Minister spraw wewnętrznych wiedział doskonale, że cesarz takiego papieru nie podpisze nigdy. Dobrze, ale się nad tem jednak zastanowi, ale zostanie ślad, że istniały zamiary, że istniała potrzeba choćby niedostatecznie umotywowana.

Toteż pewnego „pięknego“ dla ministra finansów dnia, cesarz, po godzinnej audjencji ruchem ręki wstrzymał na krześle Wittego — i zamyślił się.

Bo oto minęło lat dziesięć, odkąd ten Witte zawsze miał rację. To bądź co bądź denerwuje zawsze mieć rację!

— Pan pracowałeś dla Tronu z całym zaparciem i straciłeś zdrowie...

— Dopisuje mi jeszcze...

— Ale jesteś pan bardzo a bardzo znużonym. To nie może pozostać... bez nagrody. Długo rozmyślałem nad formą wynagrodzenia pana i oto obecnie mogę Panu powinszować awansu na... prezesa komitetu ministrów...

Witte zdrętwiał. Prezes komitetu ministrów? Toż to malowana lalka, toż to formalna dymisja...

Cesarz wstał, podał „nagrodzonemu“ rękę

i krokiem powolnym ruszył przez salę audjencjonalną w stronę drzwi.

A „nagrodzony“, rzuciwszy okiem w skośnie wiszące zwierciadło, postrzegł, jak cesarz ujął się za bródkę, jak się zjadliwie uśmiechał... z dobrego konceptu swego.

Toteż „nagrodzony“, żegnając się z giełdą petersburską, „warczał“ jak swego czasu Bismarck: „Ja... mu... tego nigdy nie zapomnę! I wbrew losom Bismarcka wrócił do władzy. Podobno nawet wzorem rodziny Suworinów, asekuje się na dwie strony; z jednej strony łumi rewolucję, z drugiej strony sprowadza sobie książki, traktujące o konstytucji. Liberali rosyjscy wymieniają nawet podręczniki; a nawet twierdzą, że ich dobór zdradza w tej dziedzinie wiedzy i doświadczenia zupełną ignorancję...

Gdy Plehwe padł z ręki Sazonowa, runął w nim ostatni „mocny człowiek“ reakcji. Bo to był mocny człowiek. Tępy, zły, ale mocny. A tymczasem żywioły rewolucyjne w Rosji dojrzały, postępową inteligencja zajęła wszystkie wybitne placówki życia publicznego, kwestja konstytucji stała się kwestją potrzeby cywilizacyjnej, walka o nią kwestją życia. Rosja przeszła przez dwudziestopięcioletni okres pracy, która pchnęła ją naprzód — i oto teraz

można już było wskrzesić terror, można było sięgnąć do tego środka. Toteż w ciągu stosunkowo krótkiego czasu pada trupem szereg ministrów, gubernatorów, żandarmów, rewolucyjni arystokraci oświadczają, iż pójdą ręką w rękę z najskrajniejszymi partjami.

Z mgławicy, jaka się wytworzyła po śmierci Plehwego, wysunęła się figurka, zacierająca uprzejmie ręce, pytająca skwapliwie każdego, czego mu potrzeba, mająca na ustach same obietnice, czyniąca cały szereg znakomitych ustępstw. Figurka ta nazywała się księżę Świętopełk Mirski.

Po zdjęciu tamy bezwzględnej reakcji buchnęła fala politycznego życia. „Terror zwyciężył“, rozległo się po Rosji. „Terror zwyciężył“, huczało w Finlandji, wstrząśniętej świeżo śmiałym zamachem Szaumana. „Terror zwyciężył“ zaczęto szeptać w Polsce i popatrywać po sobie.

Opozycja rosyjska zaczęła krzątać się żywiej. Odbywały się zjazdy za zjazdami. Mirski na wszystko pozwalał; gdy jednak tłumy poczęły urządzać demonstracje uliczne, kazał gnębić „bezlitośnie.“

Mirski po łokcie unurzał ręce w krwi ludzkiej. „Mirski powinien dać głowę“ zawołał jeden z najwybitniejszych profesorów. Ale go nie usłuchano, bo szła wiosna, ta wiosna,

która upajała pierwszymi podmuchami wolności. Mirski był tej wiosny hocianem. W górze na tle błękitu rozpiął „białe skrzydła, wczesny sztandar-wiosny“, w dole dziobem policyjnym wyłapywał wszystkie żaby agitatorskie. Zmieniły się normy. Odsiadanie w cytadeli spadło z trzech miesięcy na trzy tygodnie. Opozycja rosyjska głosiła, że rozpocznie walkę od „okazatelstw“. Dziwnem się to nam trochę wydawało, nam w Warszawie. Ale oni mieli rację. Te „okazatelstwa“ były znakomitym sposobem i agitacji i rewoltowania mas. Sypały się telegramy za telegramami do cesarza, coraz śmielsze, coraz natarczywsze, coraz bezwzględniej żądające praw, praw, praw. Żądały tego rady miejskie, ziemstwa, marszałkowie szlachty, senaty uniwersyteckie i politechniczne, zjazdy adwokatów, lekarzy, przyrodników. Aż wreszcie wyłonił się pierwszy projekt zamiany Rosji despotycznej w Rosję konstytucyjną.

Parlament? Tak. Ale jak ten parlament ma wyglądać? Z Finlandją kwestja [była załatwiona teoretycznie i faktycznie; teoretycznie, bo Finlandja sejm posiadała, faktycznie, bo jeszcze w styczniowym zjeździe Szিপowców przedstawiciele ruchu finlandzkiego wzięli udział, przeto w punkcie czwartym uchwał tego

zjazdu przyznano Finlandczykom prawo kulturalnego i politycznego „samookreślenia“. Ale Polska milczała. Za innych nie można „chcieć“. Każdy musi „chcieć“ za siebie. Ciekawym rysem charakteru rosyjskiego jest to właśnie, że on nigdy za innych nie politykuje. To my tylko układaliśmy programy, mające zbawić cały świat...

Byłoby to nawet piękne, gdyby tyczyło praw moralnych. Ale to tyczyło urządzeń społeczno-politycznych, tworzyliśmy „państwa przyszłości.“

Ruszały się tylko partje socjalistyczne, ale siłę ich stanowiła jedynie akcja społeczna; w polityce uprawiały ideologię.

Polska cała milczała. Rosja opozycyjna przysyłała do niej swoich ludzi z zapytaniem. Przysłała do ugodowców — i nic. Przysłała do inteligencji — i nic. Przysłała do socjalistów — i nic. Bo zjazd partji rewolucyjnych, który się odbył dnia 30-go września 1904 roku w Paryżu, to było — nic. Uchwały tego zjazdu nie obowiązywały nikogo, nikt ich nie dotrzymał. Zresztą socjalizm w Polsce i w Rosji to dwa socjalizmy. Socjalizm w Polsce a raczej w Królestwie Polskiem, jest twórczy a stanowi opozycję tylko przeciw bezpłodnemu zastojowi. Natomiast socjalizm w Rosji jest aksjomatycz-

nym, doktrynerskim a nie twórczym i stanowi opozycję przeciw opozycji, która jest twórczą. Kiedy w Warszawie Polska partja Socjalistyczna cieszyła się z ruchu, jaki powstał wśród inteligencji, współczuła mu a nawet pomagała, bo inaczej tego nazwać nie można, jeżeli „papuasi“ żywy udział w wiecach brali, przemawiali, pracowali, to w Rosji socjalni demokraci rozbijali wiece inteligencji, wydawali odezwy przeciw jej działalności a gdy się przed nimi zamykano, wyłamywali drzwi.

Z tymi warchołami poznaliśmy się także w Warszawie. I wydziwić się tylko nie można, że stary, doświadczony, poczciwy Bebel na ich ręce skierował odezwę swoją do niemieckich robotników Królestwa Polskiego i Litwy. Ale bo też to i taka była odezwa...

Wreszcie jednak porozumienie z rosyjską opozycją nastąpiło.

Jeżeli nowy ruch rosyjski datuje się od czasowego zrzczenia się terroru po śmierci Aleksandra II., to w Królestwie Polskiem taką chwilę przełomową stanowi ostatnie powstanie 1863 roku.

Powstanie to nazwano tragedją psychologiczną. Mówiono, że nikt go nie chciał a jednak w momencie decydującym każdy się do

niego przyłączył. Czy to było tragedją psychologiczną?

Naszem zdaniem nie. Tragedją było co innego. Gdy Wielopolski chciał dać Królestwu zupełną autonomję, Polacy żądali Litwy. Gdyby im rząd rosyjski dał Litwę, zażądaliby wypowiedzenia wojny Niemcom o Poznańskie i Austrii o Galicję. To była tragedja psychologiczna.

Rzeczpospolita polska jako zbiorowisko ludów padła. Miejsce jej zajęła Rosja i Austrija. A tymczasem zaczęły się wykluwać u tych ludów idee autonomiczne. Po co je ma ktoś inny uszczęśliwiać? Po co ma im kto inny przewodzić? Jeżeli Polska ma polonizować, to rusyfikacja rządu jest zupełnie usprawiedliwiona. Polska będzie polonizować — łagodnie, każdy się „własnowolnie“ spolonizuje. Sentymentalizm, czy jezuityzm?

Nie. Poprostu starczość. Dlaczego starczość? Bo Rosja posiada przynajmniej siłę na poparcie swojej polityki eksterminacyjnej. A Polska miała — tylko frazes.

Hasło „od morza do morza“, albo, jak żartowali urzędnicy rosyjscy „będzie Polska do Tobolska“, padło własnym ciężarem swoim.

Wreszcie zabrakło dla tego hasła reprezentantów. To też na miejsce starego hasła

musiało się zjawić nowe, które byłoby zgodne z życiem.

Z potrzebami życia.

I to hasło zjawilo się. A kiedy je drukował Sieroszewski jako program Postępowych Demokratów, już mógł być powiedzieć: „miljony tego chcą!“

Wtedy opadły krakowski „Czas“ Refleksje w N. 80. z dnia 7. kwietnia br. i napisał:

— Toż my, konserwatyści, zawsze tylko tego domagaliśmy się.

Kiedy? Za czasów Gillera i Mochnackiego? Boć teraz podpisywaliście panowie memorjał „23“, zalecaliście go, zalecaliście „twardo stać przy tronie“, „przeciwstawiać się żywiołom przewrotu“? Nie „miljony“ były za wami, wam „miljonów“ tych kamienie „dzwoniły po szybach“...

Wasze własne słowa.

„Miljony“ wołały: precz z caratem!

A wyście pracowali nad tem, aby carat „lojalność waszą uznać“...

„Miljony“ przelewają w tej chwili krew na ulicach... a wam to ofiary „masonskie... „Miljony“ domagają się wolności politycznej a sumą waszych dezyderatów „wybory szlacheckie“, „wolność kupowania majątków na Litwie“...

* * *

Jest coś, co się dzieje zupełnie poza świadomością ludzką, poza świadomością ludów, co się dzieje na olbrzymim szmacie globu ziemskiego od Mławy, Sosnowca, aż het przez Litwę, Małoruś, Rosję, dalej, dalej, na całym skłonie ku najdalszej północy.

Boć wiemy dokładnie, że ruchy w Rosji były samodzielne i w Królestwie Polskiem zupełnie samodzielne i na Kaukazie samodzielne i wszędzie samorodne...

A jednak możemy na mapie wykreślić jedną krzywą falę ruchu.

Bo kiedy 22. i 23. stycznia zadrgał Petersburg, 24. i 25. zadrgała Ryga, Dynaburg, 26. i 27. Mińsk, Białystok, Wilno, 28. 29. i 30-go Warszawa, Łódź, Sosnowiec, potem fala skręciła i znowu poszła krzywą...

Tak, to niby na wiosnę kwitnienie róż, niby latem dojrzewanie łąnów...

Europa wierzyła już tylko w układ sił materialnych. Nagle Japonja przypomniała, że istnieją takie potęgi, jak zapał, patryjotyzm, bohaterstwo.

I nowa fala uczuć wzdęła się, przeleciała Azję, wpadła do Europy, do Rosji, do Fin-

landji, Estonji, musnęła Litwę, wzburzyła Polskę...

Władze jakoś utraciły charakter dawnej grozy. Żandarmi wyglądają jak postaci z operetki, cytadela nikogo nie straszy...

Padają ofiary, leje się krew... Ależ to cena, za którą kupuje się wolność — słyhać dokoła.

Ta dziwna fantazyja, ta zamaszystość, ta nadzwyczajna wiara w jasno wytknięty cel, ta zdolność do ofiar i stąpanie po ofiarach dalej — oto co uderza, co porywa, co sprawia, że człowiek nie tylko walczących podziwia, ale ich kocha.

Dawne, nieco butne, „póki my żyjemy“, zamieniło się na „Jeszcze Polska nie zginęła“, skoro znowu „za nią — giną!“

A Litwa?

Inteligencja litewska także ogłosiła swój program, bardzo zbliżony do programu „Kuźnicy“, „Komitetu Wieców Polskich“ i „Postępowych Demokratów“.

Litwa jest krajem czterech narodowości. Niechaj te cztery narodowości same myślą o swoim losie i niechaj nikt nie chce ich uszczęśliwiać.

Niech Litwa myśli o Litwie. Niech Litwa sama określi i określa, jak chce żyć.

Litwa to Litwini, to Polacy, to Białoru-

sini z Czarnorusinami, to wreszcie Żydzi o kulturze rosyjskiej.

Ani nam Polakom z Królestwa Polskiego, ani Rosjanom, nikt prawa nie dał i nikt nie dał zdolności myślenia za Litwę, organizowania Litwy.

Pragniemy, żeby Unja żyła. Ale Unja, nie polonizacja.

Ale zarazem i nie rusyfikacja.

* * *

Jeżeli „objedinenije“ było hasłem rządu despotycznego, to ono nie może być żadną miarą hasłem życia konstytucyjnego.

Tamto hasło leżało w interesie biurokracji, rządu-pajaka, ssącego muchy-społeczeństwa. Ale same społeczeństwa mają inne cele, swoje cele. Rdzenna Rosja, rządzona konstytucyjnie, niebawem musiałaby zupełnie upaść materialnie i moralnie, gdyby „żyła z długów“.

Wtedy zostałyby przez kresy zrujnowana.

„Umwerthung aller Werthe!“

Decentralizacja, niezawistość wzajemna związkowych narodów z prawem... występowania ze związku.

W jednym z listów, którymi mnie zaszczycał profesor Ludwik Gumplowicz z Gracu,

było powiedziane: „dla nas socjologów nie jest tajemnicą, że Słowiańszczyzna się połączy, tego tylko nie wiemy, czy w jedno państwo, czy w dwa, zachodnie i wschodnie.“

Tak. Tylko czy to już związek słowiański, w który wchodzili, y Litwini, Estoni, Łotysze, Tatarzy, Polacy?

Nie odbiegajmy zanadto w przyszłość, gdy „dzień dzisiejszy“ stawia nam gigantyczne zadania do spełnienia.

Gwiazda wolności politycznej Polski, która do niedawna była „gwiazdą za granicą świata“, zbliżyła się, weszła w obręb rzeczywistości.

Nikt z nas, dziś umierając, nie powie swemu synowi, że mu ciężko umierać, że nie widzi jednego promyka nadziei.

Nie, będziemy umierali spokojnie. Umierali?

My nie wierzymy, my wiemy, że ta przyszłość jest już bardzo bliską.

Ale — jak pięknie się ktoś wyraził — człowiek ma dwie orbity, po jednej kręci się dokoła swoich własnych interesów, po drugiej dokoła spraw ogólnych.

Trzeba tedy, żeby wszyscy Polacy uznali, iż koniecznością jest i obowiązkiem obieg także po tej drugiej orbicie.

W Warszawie prawie czasu nie było na

pisanie. Słowo drukowane stało się jakimś żółwem, który się ciągle spóźniał. Słowo żywe zastąpiło wszystko, prócz naturalnie proklamacji i odezów. Mównica stała się, jak to już wyżej powiedzieliśmy, Żywym Dziennikiem. Królestwo nie miało poprostu czasu na informowanie Galicji i Poznańskiego, Królestwo rewolucyjne — a nie rewolucyjne korzystało z tego, aby informować — źle. W Galicji tylko cztery pisma spełniały swoje zadanie informacyjne wedle sił, możliwości i wciąż zmieniających się okoliczności t. j. „Naprzód“, „Reforma“, „Krytyka“ i „Kurjer Lwowski“. To też dla tych pism Królewicy żywią głęboką wdzięczność.

* * *

Ludzie się zmienili. Koło Wychowawców i Związek Unarodowienia Szkół zaraz po wiecu z dnia 19-go lutego stały się żarliwymi rzecznikami akcji szkolnej. Ukazała się nakładem warszawskiego Ludowego Koła Oświaty broszurka p. t. „Zmowa powszechna przeciw rządowi“. Zaczyna się od słów; „Wypowiadamy walkę!“ Cała jej treść tchnie tem, czem żyła inteligencja warszawska w ciągu grudnia, stycznia, lutego, marca...

Przepiękna odezwa P. P. S. z lutego mówi:

„Czujemy dobrze wasze myśli, Towarzy-
sze, widzimy pałające bólem i żądzą pomsty
oczy Wasze i słyszymy to jedno słowo, to
jedno jedyne słowo, jeden zgodny krzyk,
który wydziera się nam wszystkim z piersi:
broni, broni!“

Zali sądzą, że to wołanie kilku agitato-
rów „masońskich i kosmopolitycznych“? Czy
nie widzieliście tych ulic zbryzganych posoką,
tłumów, rzucających wszystko na szalę wy-
padków, życie, byt rodzin, byle wolność,
wysnioną wolność zdobyć?

I cóż, wy stróże kas wertheimowskich,
wy stróże klejnotu szlacheckiego i wy, któ-
rzyście dawniej za wolność ponosili rany,
czy te rany zapomniane? czy źródlika wa-
szych majątków nie odemkną się? czyż tylko
„maluczy“ mają o Polskę walczyć?

Do was wołamy po raz ostatni: pieniędzy,
pieniędzy!...

Ha, gdy wolność będzie, może się wtedy
ruszycie do senatorskich krzesel, do fotelów
poselskich i może wtedy powiecie: ależ ten
lud nie dojrzał, aby mógł wybierać...

Czyż was z ludem rzeczywiście nie łączy
żaden — wspólny cel?

Co „z szlachtą polską polski lud“, ale
czy z „ludem polskim polska szlachta“?

Jak się skończy spór Bojki z Jordaniem?

* * *

A wy finansisci, którzy powiadacie, że „miljony leżą na ulicach, tylko je podnieść“, jeżeli nastanie ład, jeżeli nastanie wolność — czy wy będziecie tylko dawali... sturublówki?

Czy to także „sen na końcu pieśni“, że wy rzucicie na szalę zdarzeń wasze majątki, że zostaniecie polskimi Varvakisami...

* * *

A wy — Ludzie Słowa — czyż nie wyjdzie z waszych piersi tchnienie, tchnienie twórcze, nie słówka, ale Słowa, wielkie, twórcze, porywające masy Słowa?

Czy pamiętacie tego, który śpiewał: „Nie czas marzyć o kochaniu, o bogdance, o różrwaniu“...

Tak, „dla nas nie ma róż“...

„My jak ptacy na wędrowce, dziś — tu — jutro na placówce może będziem już...“

DODATEK.

Andrzej Niemojewski do Augusta Bebla*

LIST OTWARTY.

*) W odpowiedzi na ulotne pismo: „August Bebel an die deutschen Arbeiter u. Arbeiterinnen in Russisch Polen und Littauen. Offener Brief. Herausgegeben vom Vorstand der Sozialdemokratie Russisch Polens und Littauens — Datowane: Schöneberg-Berlin, den 9 April 1905“.



Zarząd Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy rozrzucił po ziemiach polskich Pańską odezwę z dnia 9. kwietnia br., skierowaną do zajętych u nas robotników niemieckich.

To nietylko odezwa socjalisty. To program polityczny, to określenie stosunku człowieka do ludzkości, to narysowanie mapy geograficznej dla pewnych ziem kontynentu, to hasło do czynu, to komenda do boju.

To nietylko rada *in abstracto*, ale to zarazem zjawienie się na czele pewnego pułku i wskazówka: za tym pułkiem idźcie!

To nie proklamacja anonimowa, to odezwa z podpisem Augusta Bebla, człowieka owocnej przeszłości, wielkiego charakteru, nienagannej sprawiedliwości, olbrzymich zasług obywatelskich, myśliciela, działacza, ofiarnika.

Człowiek żarliwej a prostackiej wiary chwytą Listy, spadłe z nieba na Górę Oliwną, kupuje od Jezuitów bilety do Raju; dla niejednego łódzkiego robotnika odezwa z podpisem Wielkiego Bebla jest Listem spadłym z nieba na Ghetto fabryczne, jest biletem do Raju na ziemi.

Zdają sobie chyba dokładnie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy autorami Listów spadłych z nieba na Górę Oliwną a autorami różnych robotniczych proklamacji. Zdają sobie nawet sprawę z różnic, jakie zachodzą pomiędzy czytelnikami objawień a proklamacji. Ale gdy się chce ludzi uszczęśliwiać, trzeba znać ich požądania; a gdy się do nich posyła apostołów trzeba być ich pewnym.

Co powiedziałyby pan August Bebel, gdyby mu się Francuzi rozparli w Berlinie, wprowadzili do urzędów, do szkół a nawet do prywatnych instytucji język francuski, gdyby mu pluli dzień w dzień na niemczyznę, gdyby cenzurowali jego Kantów i Goethych, gdyby okradli berlińskie muzea, gdyby zdetronizowali Wilhelma II. i rozegnali parlament? Czy powiedziałyby wtedy: „ciemieźcy nasi są kosmopolitami, tedy i ja będę kosmopolitą?”

Co powiedziałyby na to, gdyby wtedy pan Jaurès wystosował List Otwarty do robotni-

ków francuskich, którzy się zapędzili do Prus, z propozycją utworzenia z Niemiec i Francji jednej „Republiki Ludowej“ z parlamentem w Paryżu? Czy pan Bebel wraz ze swymi 84 parlamentarnymi kolegami obozu socjalistycznego pojechały do Paryża, grzmiał z Lewicy po francusku i był rzecznikiem „einer freien Volksrepublik im ganzen franzoesischen Reiche“ od Sekwany do Szprewy?

Sądzę, że nie. Przypuszczam, że na wzór warszawskich działaczy zwoływałyby polityczne wiece i propagowałyby bezwzględną decentralizację, domagałyby się politycznego wyodrębnienia Niemiec, parlamentu w Berlinie, służby wojskowej w kraju a jeśliby Francja jeszcze konstytucji nie posiadała, to żądałyby konstytucji dla niej, aby się zabezpieczyć przed podobnymi inwazjami, starałyby się o wolny sojusz z wolnościową Francją, aby siebie wzajemnie nie dręczyć i nie unieszczęśliwiać.

I gdyby rozwinął szaloną agitację w tym kierunku, gdyby dla tej agitacji zyskał nie tylko robotników ale ludność wiejską, ale miejską inteligencję, co powiedziałyby pan August Bebel, gdyby mu wtedy pan Jaurès nasał „Członków Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy“, którzyby zaczęli wiece rozbijać, na wiecach tych rozrzucali przeciwko

niemu proklamacje, nazywali go „socjal-patrjotą“, wyrywali z rąk składki na świętujących robotników niemieckich i oddawali je świętującym robotnikom francuskim a może angielskim, szydzili z całej jego roboty, że widocznie musi być licha, skoro szczęśliwie unika prześladowania ze strony policji francuskiej, i gdyby wołali: „Precz z Niemcami!“ Co powiedziałyby na to wszystko pan August Bebel? Co pomyślałyby sobie o Jaurèsie, o jego odezwie, o jego apostołach „Zarządu Socjalnej Demokracji K. P. i N.“ co napisałyby w Schöneberg-Berlinie d. 9. kwietnia 1905 r.?

Może powiedziałyby tak: znam Jaurèsa, to człowiek charakteru, zasług, rozumu, sprawiedliwości; ale cóż to, z trójnoga paryskiego będzie mi tu rzucał w stronę Niemiec programy polityczne i formułował „najbliższe żądania?“ Czy on je zna? Czy on żywcem nie przenosi stosunków francuskich do Niemiec? A może tego poczciwego człowieka poprostu... naciągnęła o „jakąś odezwę“ sodalicja S. D. K. P. i N., rywalizująca z Niemiecką Partją Socjalistyczną, czyli N. P. S.?

Może ten Jaurès padł poprostu ofiarą jakiejś intrygi, mistyfikacji, bo przecież nie byłby tak naiwny?... A może go wielkość własna już trochę oślepiła?... A może nic nie sły-

szął o historii, cywilizacji, literaturze i sztuce Niemiec?... Może nie wie, że nawet cała postępową Francja przyznała Niemcom zupełne wyodrębnienie, parlament w Berlinie, służbę wojskową w kraju... tylko „kosmopolityczny“ pan Jaurès przespał to wszystko w Schöneberg-Paryżu dnia 9. kwietnia 1905 roku?

I kiedy... na wzór Warszawy... cała ludność Berlina z panem Beblem na czele zbuntowałyby się przeciwko inwazji francuskiej, rzuciła bomby pod oberpolicmajstrów Nolkenów, zabijała szpiegów, gdyby stanęła... na wzór jedenastomiljonowej ludności Królestwa Polskiego... cała oświata francuska Niemiec, oświata policyjna, gdyby lud roboczy niemiecki wołał: „Precz z inwazją francuską, precz z caratem francuskim, niech żyją wolne niepodległe Niemcy!...“ apostołowie pana Jaurèsa warcholiliby, wymyślali robotnikom niemieckim, walczącym o wolność swego narodu od... socjal-patrjotów, urządzaliby kontr-pochody, prowadzili bezbronny lud na uzbrojone wojsko, aczkolwiek już inna taktyka została uchwalona i stosowana, tak, ale nie przez nich... A potem ci apostołowie poleciliby do Paryża, wyprosiliby u Jaurèsa odezwę przeciwko tym „socjal-patrjotycznym“ Beblom, rozrzucaliby ją po całych Niemczech...

Co powiedziałyby na to wszystko pan August Bebel, krzewiciel cywilizacji, trybun ludu niemieckiego, obrońca jego praw przyrodzonych, myśliciel, działacz, charakter?...

Czy nie czułby do pana Jaurèsa żalu... albo... czy nie powiedziałyby; eh, ten Jaurès, on coś już jak Leon XIII. wydaje encykliki *rerum novarum*, z którymi się przecież N. P. S. liczyć nie potrzebuje, bo cały żywioł niemiecki pędzi zhukaną rzeką w całkiem innym kierunku..! I tylko szkoda tak ładnego nazwiska, że się znalazło pod podobną odezwą, co to wedle... niemieckiego... przysłowia: ni w pięć, ni w dziewięć...

Są ludzie, którzy wymyślają uniwersalne pigułki na wszystkie choroby, które to pigułki, jeżeli nie pomogą, to w każdym razie nie zaszkodzą. Są także socjaliści, którzy wymyślają programy na wszystkie polityczno-społeczne sytuacje, które, jeśli ludzkości nie zbawią, to w każdym razie także tej ludzkości nie zaszkodzą. Do takich programów pan August Bebel zaliczyłby bezwarunkowo ewentualną odezwę pana Jaurèsa datowaną 9. kwietnia 1905 roku w Schöneberg-Paryżu a rozrzuconą po Niemczech przez partję kabalistycznych liter: S. D. K. P. i N.

A teraz, zacny lekarzu niemiecki, chcesz wiedzieć, czego domaga się istotnie nietylko, jak się pan geograficznie wyrażasz, „rosyjsko-polski“ robotnik, ale polski robotnik, polski lud i polska inteligencja Królestwa Polskiego? Jakie są istotnie „najbliższe“ żądania, bez zrzekania się żądań „najdalszych“?

Ani chcą najpierw zupełnego wyodrębnienia politycznego, administracyjnego i prawnego Królestwa Polskiego, które, tymczasem, ze swym demokratycznym sejmem w Warszawie, stanie do konstytucji w Rosji w stosunku federacyjnym z prawem wystąpienia z tego związku, gdy to uzna dla siebie za korzystne. Bo tylko wtedy zyska niepodległą naukę, niepodległą oświatę, niepodległe piśmiennictwo, niepodległą sztukę, niepodległe życie publiczne i wolność koniecznych przeobrażeń społecznych.

Jeżeli na gruzach caratu powstanie nie jedna „ludowa republika w całym państwie rosyjskiem“, ale szereg wolnych sfederowanych republik, to i wtedy jeszcze ani polski robotnik, ani polski lud, ani polska inteligencja nie usną w Schöneberg-Warszawie, ale będą myśleli o złączeniu się ze swymi braćmi z Galicji, z Śląska, z Poznańskiego. A gdyby Wasza Hakata i Wasi landraci chcieli

im stanąć w poprzek drogi, to będą pod nich tak bomby padały, jak z rąk Hryniewieckiego padły pod Aleksandra II., a z rąk niewiomego bohatera warszawskiego pod Niemca Oberpolicmajstra barona von Nolkena i jak prawdopodobnie padną pod jego zastępcę, także Niemca i także barona, pana von Meyera. To dziejowa konieczność, to rzecz losowa, która jest już poza mieszkańcami Schöneberg-Berlina, ale do której radzi nieradzi muszą się uciekać mieszkańcy Schöneberg-Warszawy, Schöneberg-Łodzi, Schöneberg-Kalisza ect. ect.

Demokratyczny sejm w Warszawie wykona w kierunku reszty wszystko, co się mieści w Pańskim Liście Otwartym. To są rzeczy, które dawno zostały uznane przez *simplicissimorum* społecznych za *conditiones sine quibus non*.

A gdyby rząd niemiecki rządowi obecnemu Rosji chciał przyjść z wojskową pomocą a socjalistyczni mieszkańcy Schöneberg-Berlina tylko w parlamencie niemieckim zaprotestowaliby przeciw temu a potem karnie wstąpili w szeregi armji inwazyjnej, to prawdopodobnie kilka bomb trafiłoby także samych nawet Schöneberg-Berlińczyków, bomb, rzuconych, rozumie się, nie przez panów Kościelskich, po których Wy nas wszystkich tak zawsze

sądzicie, jak my Was nie sędzimy po Meklemburczykach i rozmaitych Spiessbürgerach z tej lub innej niemieckiej Abdery, bo my bywamy w Berlinie a Pan, o ile mi się zdaje, w Warszawie nie był, choć napisałeś dla niej polityczną receptę... bez lekarskiego opukania.

„Czy polski, czy rosyjski, czy niemiecki robotnik, położenie ich jednakowe...”

Nie, panie Bebel, zasadniczo nie jest jednakowe! Jeszcze Volapücker ani Esperanta nie zaprowadzono na globie ziemskim; jeszcze pierwszym, przyrodzonym, powiem nawet terminologją Waszą, „ekonomicznem“ prawem człowieka jest — swoboda jego mowy. Jeszcze kultura nie zniosła narodowości i odrębnych obyczajów, jeszcze jeden parlament dla całej ludzkości z siedzibą w jakimś Nowym Jorku nie stał się gwiazdą polarną politycznych żeglarzy, jeszcze polskiemu robotnikowi należy się polska szkoła, polski sąd, polski urząd, polski sejm, co ma w zupełności robotnik niemiecki, a co prócz parlamentu ma robotnik rosyjski. Więc pan nie mów, że położenie tych robotników jest jednakie, bo to będzie znowu rozglądaniem się po uliczkach Schöneberg-Berlina i przepisywaniem politycznych recept... na niewidzialnego.

I nie komenderuj pan: „W imieniu mię-

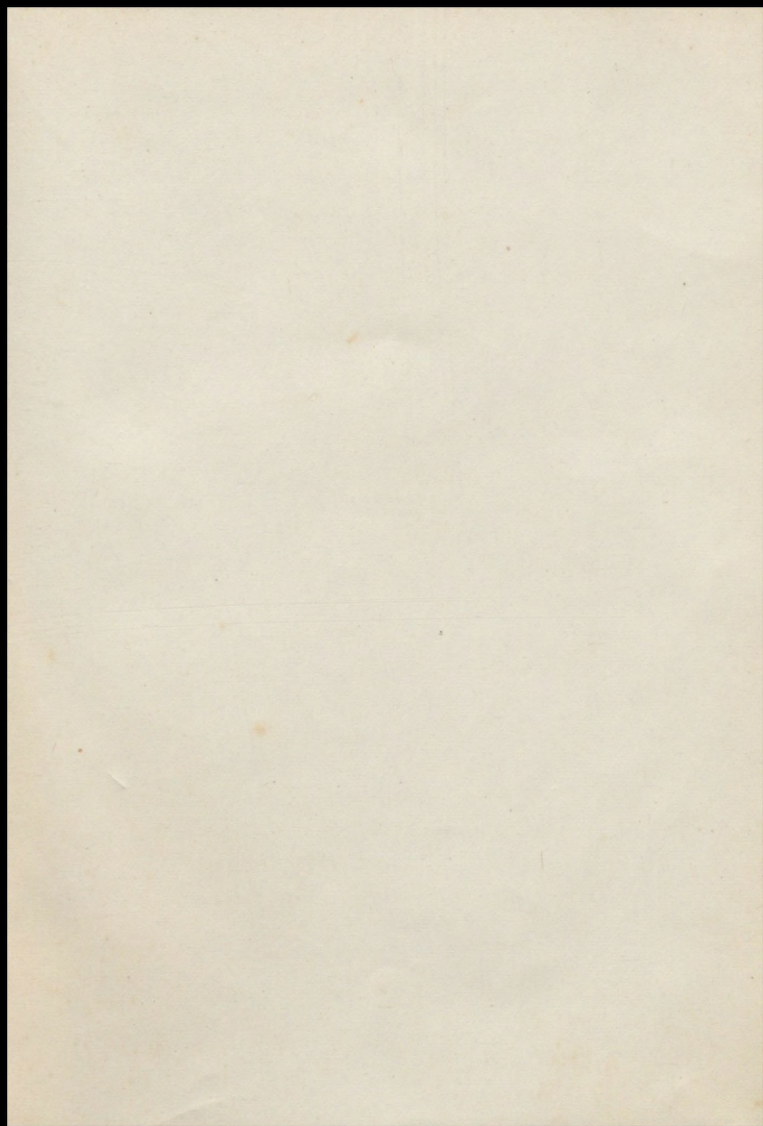
dzynarodowej socjalnej demokracji — naprzód“ dopóki ta Socjalna Demokracja nie zdobędzie się na coś więcej, niż „uniwersalne pigułki“, i nie postara się o innych apostołów, a nie takich, którzy wołają: „Precz z Polską“, na co przecież ojczyzna Pańska mimo protestów Pana i Pańskich 84 kolegów, rok rocznie uchwała gadzinowe fundusze.

A jednak, pomimo tego gadzinowego grzechu, Pan kochasz ojczyznę swoją, kochasz mowę niemiecką i czcisz jej kulturalny dorobek. Więc czym jest Pański kosmopolityzm? Jeśli Anglja spadnie ze swymi pancernikami na Niemcy, wtargnie do Berlina, usiedzisz Pan spokojnie w Schöneberg-Berlinie? Chyba Pan powiesz, że kosmopolityzm oznacza, aby nikt Panu nie zabierał Schöneberg-Berlina i nikt Panu berlińskiego parlamentu nie przenosił do Londynu i nikt Panu nie radził jednej wspólnej republiki ludowej dla 2250 ludów świata z centralną siedzibą na Saharze i urzędowym językiem arabskim, póki przynajmniej te 2250 ludów nie wyuczy się albo Volapückeru, albo Esperanta...

Pozwól tedy, zacny Panie, że i my też.

Andrzej Niemojewski.

Zakopane, w Galicji, d. 12 maja 1905 r.





Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

10666/1



11-010666-000-0